

VariArt

pismo kulturalno-literackie

01/2008



WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA
PUBLICZNA w OLSZTYNIE



www.wbp.olsztyn.pl



*Ilona Napińska*

Recenzja z cyklu „Czytamy”

„Dla mnie to samo” to druga książka Agnieszki Drotkiewicz. Autorka jest absolwentką Stosunków Międzykulturowych w Warszawie, pracuje jako dziennikarka w magazynie „Lampa”. Powieść, którą chciałabym polecić, to historia o kilku kobietach, ich wzajemnych relacjach bądź ich braku. Jakkolwiek banalnie by to nie zabrzmiało, to opowieść boleśnie prawdziwa, choć niekiedy w oczywisty sposób przerysowana. Można znaleźć tu podobieństwa do twórczości Michela Houellebecq, jednak nie w aspekcie bujnych opisów aktów seksualnych, lecz raczej w sferze psychologii postaci.



Nie jest to opowieść pogodna, ale może tym bardziej warta zainteresowania. Powieść przesycona jest groteską, kpina, sarkazmem i czarnym humorem. Jej główne bohaterki to Danuta i jej córka Adela, Renata Pokuta oraz Nina. Postaci męskie istnieją tylko w zależności, zapośredniczeniu lub fantazji kobiet.

Życie Adeli i Danuty jest nędzne i tanie jak pyzy „Albert” z ich niedzielnego obiadu. „Adela i matka, dwie rany, które nie mogą się definitywnie zagoić, bo jedna wciąż infekuje drugą” – to diagnoza ich wzajemnych stosunków. Życie Adeli upływa na pracy w bibliotece, cerowaniu rajstop i marzeniach o tym, żeby nie było to jej życie.

Jej kompletnym przeciwieństwem jest Nina Podkowińska, której życie chciałaby założyć Adela jak sweter. Nina nie pasuje do swojego życia, tak jak do za dużego swetra, walczy z „cywilizacją dykty i kartonu” cierpiąc jednocześnie na „tzw. bulimię informacyjną”. Utrzymuje ona liczne, lecz płytkie, kontakty seksualne z wieloma mężczyznami, którzy mają być antidotum na jej nieustępujące nienasylenie.

Następna postać to telewizyjna prezenterka Renata Pokuta, która z kolei przynosi uśmierzenie bulimii informacyjnej Niny. W swoim programie doradza kobietom życie bez mężczyzn, sama jednak nie wierzy w głoszone hasła. Desperacko próbuje odbudować swoje relacje z byłym mężem, który nią gardzi – „dystrybucja uczuć nie jest sprawiedliwa”.

To książka o szukaniu tożsamości, próbach nawiązania kontaktu, które skazane są na niepowodzenie. Przewija się tu wątek egzystencjalny, a jedynym autentycznym uczuciem pozostają mdłości. Mimo iż traktuje o świecie kobiet, nie można jej porównywać do tzw. literatury kobiecej. Próżno szukać podobnej książki!



Od kwietnia tego roku Wojewódzka Biblioteka Publiczna publikuje w różnych formach rekomendacje książek, polecanych przez mieszkańców Olsztyna i regionu.

O swoich wyborach literackich wypowiadają się zarówno znane osobistości, jak i czytelnicy naszej biblioteki.

Ich opinie w formie krótkich recenzji przeczytać można w Starym Ratuszu (Wypożyczalnia Literatury Pięknej i Obcojęzycznej) oraz na naszej stronie internetowej (www.wbp.olsztyn.pl/programy/czytamy).

W ramach projektu „Czytamy” wybrane przez siebie książki polecali już m.in.: Bernadetta Darska, Andrzej Marcinkiewicz i Piotr Siwecki. Obok prezentujemy recenzję jednej z czytelniczek.

Wydawca:

Wojewódzka Biblioteka Publiczna

10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5

tel. 089 524 90 32; e-mail: wbp@wbp.olsztyn.pl

Redakcja numeru: Marek Samselski, Sylwia Bialecka, Izabela Frąckowiak, Iwona Bolińska-Walenzik, Olga Lipnicka, Anita Romulewicz, Waldemar Tychek
e-mail: variant@wbp.olsztyn.pl

Grafika i skład: Przemek Kozak; kozak@sphereoncord.com

Druk: Drukarnia LEO; info@drukarnialeo.com.pl

- 02
Cykl CZYTAMY
- 04
Wywiad z grupą OLSZTYN WSCHODNI
- 06
OLSZTYN WSCHODNI → poezja
- 07
OLSZTYN WSCHODNI → proza
- 10
Poezja i miniatury
- 12
Jeden dzień z życia szklanki
→ opowiadanie
- 13
Felietony
- 14
Komedia pornograficzne → proza
- 16
Galeria VariArt-u → batik
- 18
Blokowiska doczekały się portretów
- 19
WBP → projekt architektoniczny
- 20
Dyskusyjny Klub Książki
- 21
Targi Wydawnicze → WBP
- 22
WBP - Wszystkim Bajka Pomaga
- 23
Równolandia
- 24
Felietony
- 26
Fileton
- 27
Co dobrego było w peerelu?
- 28
Recenzje muzyczne
- 30
Hydeparkan



No i mamy problem...:

młodzi tworzą bez jakiegokolwiek respektu dla różnych gatunków i rodzajów sztuk...

„starzy” chwytają za pióra, stają przy sztalugach, utrwalają ulotność wrażeń za pomocą kamery...

Tak się dzisiaj opisuje świat, który dla wyartykułowania swojej złożoności potrzebuje metafory!

Mamy problem, ponieważ brakuje wspólnej ponadpokoleniowej platformy tej artykulacji, miejsca, gdzie integracja tak różnych poglądów i obrazów przeżywanego świata miałyby szansę weryfikacji. Gdzie podzielimy się z innymi własną poetyką? Jak nazwać to miejsce?

Artur Sandauer powiedział kiedyś, że sztuka może być pisana zarówno przez duże „S”, jak i przez małe „g”...

Czy istnieje miejsce, gdzie w alfabecie będą obowiązywały same duże litery?

Istnieje „VariArt”...

Zapraszamy!

Redakcja

VariArt
pismo kulturalno-l



PO WSCHODNIEJ STRONIE OLSZTYNA

wywiad z grupą **Olsztyn Wschodni**

-- W internecie pojawił się blog grupy Olsztyn Wschodni. Czym zajmuje się grupa?

Marta Chyła: Jesteśmy grupą sytuacyjną. Zajmujemy się twórczością szeroko pojętą. W skład naszego zespołu wchodzi młodzież twórcy, głównie związani z regionem warmińsko-mazurskim: pisarze, poeci, fotograficy, filmowcy, malarze, graficy. Brakuje nam tylko poltykacza ognia <śmiech>. Wygrywamy konkursy, organizujemy imprezy, promujemy Olsztyn i dobrze się nam wiedzie, jesteśmy szczęśliwi.

-- Więc nie jest to grupa ściśle literacka, ale artystyczna w szerokim tego słowa znaczeniu?

Piotr Binkowski: Trzon naszych zainteresowań to właściwie literatura, ale nie chcemy się do niej ograniczać. Interesuje nas tekst, dźwięk i obraz, również łączenie np. filmu z poezją. Możliwości jest mnóstwo i teraz widzimy je wyraźniej. Każdy zajmuje się czym innym i robi to po swojemu, więc z takiej współpracy mogą wyjść naprawdę oryginalne, zajmujące twory. Na pewno nie chcemy się zamykać. Zaznaczyliśmy, że szukamy ludzi, którzy mają pomysły, chcą coś zrobić. Jesteśmy zdania, że takich akcji powinno być dużo, więc chętnie pomożemy i innym – nieważne, czy będzie to dotyczyło hip-hopu, teatru czy kręcenia reklamówek. Jeśli będziemy w tym widzieć sens, chętnie w to wejdziemy.

-- Czy możecie przedstawić pozostałych członków i współtwórców Olsztyna Wschodniego z podaniem dziedzin twórczości, jakie uprawiają?

P.B.: Miśka zajmuje się poezją i szykuje debiutowy tomik. Ja piszę książkę i idzie mi ciężko. Michał działa w prozie i planuje wydanie dobrej książki, choć fascynują go też wiersze. Maciek i Krystian kręcą i piszą. Marta pisze i maluje, ma często wystawy.

-- Kto jest liderem grupy?

M.Ch.: Grupa nie ma lidera. Pomysł wyszedł od Krzysztofa Kapinosa, Marty Chyły i Michała Krawiela (Michalina, Maciek, Krystian i Piotr przyłączyli się niemal od razu) podczas... oglądania meczu piłki nożnej.

P.B.: Spotykaliśmy się w większej grupie już wcześniej – czasem na uczelni, częściej poza nią; znaliśmy swoją twórczość i podczytywaliśmy sobie teksty. Myślimy, że start Olsztyna Wschodniego był kwestią czasu. Zdaliśmy sobie sprawę z tego, że połączenie sił stworzy nam większe możliwości organizacyjne, będzie to również ciekawe i uczące doświadczenie. Póki jest co robić, nie rozdzielamy stołków.

-- Czytelnicy chcą wiedzieć, z kim mają do czynienia. A więc jakie mogłoby być wasze credo?

P.B.: Nie staramy się jednoczyć na siłę i współgrać we wszystkim, bo to bez sensu. Z różnic pomiędzy nami może wyjść więcej niż z podobieństw. Tym bardziej, jeśli chce się działać nietypowo – a na tym nam właśnie zależy. Jedyne ograniczenie, jakie nas ogranicza, zawiera się w tym, co piszemy/tworzymy. Trudno mówić o spójnym światopoglądzie. Na pewno w jakimś stopniu jest, skoro spotykamy się i dyskusje nie wywołują frustracji, ale nie bawimy się w rozpisywanie śmiertelnie poważnych manifestów. Skupiamy się na tym, co w sztuce jest obecne teraz, ale nie odrzucamy tradycji. Mamy jednak świadomość tego, co się w niej już przejadło i czego nie ma sensu przedłużać. Interesują nas dzieła nowatorskie i niebanalne. Takie, które w sposób odkrywczy potraktują stare problemy.

-- Powiedział Pan – „Mamy mnóstwo pomysłów i wystarczająco dużo determinacji, żeby je realizować”. Czy są to jakieś nowe, odkrywcze pomysły? Poproszę o przykłady.

P.B.: Zależy nam na tym, żeby pomysły były świeże. Jednym z najnowszych jest konkurs recytatorski/czytania performatywnego, nad którym intensywnie myślimy. Chcemy wykorzystać przede wszystkim teksty współczesnych autorów, nie będzie to czytanie klasyki. Nietypowo zapowiada się również slam na terenie Olsztyna, ale o tym wkrótce.

Wszystkie pomysły wychodzą spontanicznie – jeśli stwierdzimy, że coś warto zrobić, robimy to. Większe rzeczy planujemy, ale w tych drobniejszych sprawach zostawiamy sobie mnóstwo miejsca na improwizację. Chcielibyśmy dotrzeć do szerokiego grona, również do tych osób, które średnio interesują się sztuką. Mamy i na to sposoby. Na pewno postaramy się o to, żeby w naszych akcjach było zawsze coś, co będzie je wyróżniać. Podczas pierwszych dni działania okazało się, że mamy mnóstwo własnych pomysłów, ale powtórzę: jesteśmy otwarci na propozycje z zewnątrz. Nie chcemy tworzyć zbędnych podziałów.

-- Olsztyn Wschodni ogłosił konkurs poetycki pod patronatem Marii Janion. Czy Maria Janion zaakceptowała ten fakt? Czy będzie może członkiem jury?

P.B.: Tak, prof. Janion została o konkursie poinformowana i oczywiście wyraziła zgodę, za co jesteśmy jej wdzięczni. Zdecydowaliśmy, że konkurs ocenimy wewnętrznie – głos decydujący będzie należał do Michaliny Janyszek, z racji tego, że jest z nas wszystkich najbardziej związana z poezją.

To pierwsze nasze przedsięwzięcie tego typu i chcemy się sprawdzić, dlatego wszystko robimy sami.

-- Czy Grupa identyfikuje się z poglądami wybranych przez siebie autorów, tzn. Marii Janion i Jacka Dehnela? Czy można określić to w ten sposób, że w swoim założeniu będzie to arty-

styczna grupa romantyczna, tolerancyjna i lewicowa? Czy właśnie nazwa Olsztyn Wschodni ma podkreślić lewicowość?

P.B.: Można raczej powiedzieć, że grupa docenia autorytety takie jak Maria Janion i zauważa te pokroju Jacka Dehnela.

Romantyzm, tolerancja i lewica? Jesteśmy szaleni i mamy szerokie horyzonty myślowe – to jest pewne. O resztę trzeba już dopytywać każdego z osobna. Jak mówiłem wcześniej, Olsztyn Wschodni nie tworzy programów. Nie bawi się również oficjalnie w politykę – od tego są przecież inni.

Jeśli chodzi o nazwę, Olsztyn Wschodni to przestrzeń. Jest jak dworzec, który nie istnieje – jest tylko stacja przeładunkowa.

prób będziemy odczytywać swoje teksty do jego muzyki klubowej podczas imprezy Olsztyn Wschodni Klubowy. Planujemy nagranie w studio w Warszawie, po czym zaprojektuję nam okładkę płyty i możemy czekać na wydanie.

red.

Osoby dramatu:

Piotr Binkowski (1985) – wszechstronnie bezrobotny. Pisuje i krytykuje. Publikował. Kończy studiować literaturę. Pisze kryminał i bada szaleństwo w poezji. Żyje w Olsztynie Wschodnim.

Marta Chyła (1984) – pisarka, działaczka formami wizualnymi. Maluje obrazy, które później wystawia w Polsce i za granicą, pisze prozę, którą publikuje. Ma styl i każdy ze środowiska kiedyś się w niej kochał.

Maciej Janicki (1985) – kiedyś kelner, niedoszły absolwent szkoły gastronomicznej. Kręci filmy, pisze, fotografuje. Rodowity obywatel Zatorza.

Michalina Janyszek (1985) – poetka, dramatopisarka ze Wschodniego Olsztyna. Nie jeździ na rowerze. Z zasady odpoczywa na oddziale. Wciąż debiutuje. Oczywiście wszechstronnie bezrobotna.

Marta Stachnialek (????) – interesuje się antypromocją, zatrudniła się w telekomunikacji, żeby pracować nad swoją komunikacją interpersonalną. Zajmuje się eksperymentalną prozą poetycką, stara się wykonywać fotografie socjologiczne. Rozkochuje w sobie dziewczyny i chłopców z pobliskiej wsi. Wartkie życie literackie jest jej obce.

Michał Krawiel (1984) – prozaik, kiedyś dziennikarz, śmieciarz, magazynier, inspektor jakości, operator maszyny ciężkiej, pomocnik magazyniera. Generalnie wszechstronnie bezrobotny. Mieszka w miasteczku, gdzie koncentruje się całe zło. Pomyka też po Olsztynie Wschodnim. Publikował papierowo i elektronicznie.

Krzysztof Kapinos (1985) – student V roku Filologii Polskiej UWM w Olsztynie. Laureat Grand Prix konkursu Ligi Morskiej w kategorii: poezja. Publikował głównie w internecie (Digart, Nie-szuflada).

Krzystian Kujawa (1982) – prawie naukowiec, prawie reżyser, prawie pedagog, frustrat i nieudacznik.

Dariusz Szymanowski (1984) – prozaik, poeta. Wierzący we wszelkie odmiany miłości. Wierzący, praktykujący. Publikował w „Opcjach”, „Pograniczach”, „Kresach”, „Kwartalniku Artystycznym”, „Portrecie”. Wychowany na Zatorzu. Zamieszkuje Górny Śląsk. □



Autobus, Marta Chyła →

-- Jakie pomysły Olsztyn Wschodni będzie realizować w najbliższej przyszłości?

P.B.: Planujemy wziąć udział w kilku imprezach kulturalnych na terenie Polski i zaprezentować się szerszej publiczności.

Na pewno zorganizujemy slam i wystawę. Planujemy również nawiązać współpracę z którymś z olsztyńskich klubów i zrobić cykl imprez. Jeśli chodzi o kwestie techniczne, do boga dojdzie strona, która będzie naszą wizytówką w sieci.

M.Ch.: Nawiązaliśmy współpracę z Pawłem Uszyńskim, znanym także jako Elektroliryka w kręgach warszawskich. Po miesiącach



Michalina Janyszek

na miarę

grunt to dobry początek
ale jeśli koniec jest aż tak przyziemny
wolą bezpiecznie się produkować
w fabrykach obcych koncernów
i do końca badają proporcje

między zużytymi godzinami
a przekątnymi ostatniego wieku
my kontemplujemy liczbę niewymierną

info

jeśli śnimy to dusi nas las
za luksusowe deski domów

sto procent drewna dają nam też na końcu
po ulicach płaczą wierzy
pszczoły umierają całymi ulami
przez nasze synapsy i komórki
przewodzące

coraz więcej emotikonów
bóg nas kiedyś pokarze

kanarkowa kanapa

w opanowanym ze szczegółami
mieszkanium

każdy wchodzi sobie w drogę
i bierze się bez pytania
tam pranie pościeli nabiera większego
znaczenia

bo tylko wiele ciał jest człowiekiem
bez reszty rozmów z sąsiadami
i opinii jak ła
nasze języki i sprawy stają się słodkie
dla przypadkowych partnerów i plotkarzy
odkąd wszystko się stało

Piotr Binkowski

litania od siebie

wszystkie rzeczy widzialne i niewidzialne
rzeczy martwe rzeczy złośliwe
przenajświętsze matki niedzielni ojcowie
bracia i siostry w grzechu
słowa kluczowe w wejściach z
wyszukiwarek

i ukryte ikony
nie pytajcie mnie o nic
niech wam odpowie ten
który gładzi grzechy świata

prześwity

na balkonie jest więcej powietrza
niż człowiek może znieść
przechylasz się przez krawędź i widzisz czystą
przyszłość

parking pełen samochodów
każdy jest innego koloru jakby ktoś specjalnie
chciał pokazać że się różni
przez okna tego nie widać żaluzje
tną światło skutecznie

tak wyszło

nie mam tu nic do roboty więc czas się
wyprowadzić
znaleźć pracę raz na zawsze zabić to żołądkowe
emo
zaopiekują się mną nowe towarzystwa jak nikt
będę się włóczył przez wszystkie strony ulicy
aż wreszcie zrozumieć że nie uwzględniono
mnie
w żadnym spisie treści

Piotr Makowski

Korzenie

ogoliła go jednorazową maszynką
uzmysławiając mi jednorazowość śmierci
później włożyła go w granatowe spodnie
i wyrwała mi z ręką koszulę, którą prasowałem
tak długo żeby jeszcze

jeszcze chwilę, wołam, spuszcza wodę
i przyglądam się odbiciu w lustrze
została mi maszynka którą goliłem go
jeszcze żywego ten przedostatni raz
zarost rośnie przecież umarłym więc

zastanawiam się poważnie
podrażniam nierówności twarzy i już wiem

[Powinnaś]

powinnaś tu być. zaraz obok.
przyzwyczaiłem się do twojego ciała
i teraz jest mi łatwiej wyobrazić sobie
ciebie niż jakąkolwiek inną.

jeszcze nie wiem, jak bym ciebie
wykorzystał.
tylko bym spróbował.
dotknął i jeszcze raz wygonił za drzwi,
krzyknął: suka
na tyle cicho, żebyś nie usłyszała.
najchętniej uderzyłbym cię, ale

urwało mi ręce, kiedy podniosłem je na Ojca.
kopać nie będę. już od jakiegoś czasu

nie siedzę w twoim brzuchu.

Krzysztof Kapinos

Stumetrowiec

Świetlicki powiedział że miłość nie istnieje
– Uwierzyliście
Wczoraj stałem na wszystkich balkonach
świata

Czekając aż do mnie przyjdiesz
Nadaremnie
Było dla ciebie za zimno
Między nami
W przestrzeni
Upadłem sięgając słońca
Czas opatrzyć swoje rany
Wyciąłem sobie powieki
Żeby nie zanurzać się w marzeniach

Obtarłem kolana
Żeby uciec od ciebie

Mamy nie ma

Smutno mi trochę
Babcia powtarza żebym nie płakał
To ja nie płaczę
Jestem mężczyzną. Dużym mężczyzną.
Mama pojechała do Dablina

Tata jest w Dublinie
Mam tylko babcię
Kiedy ją boli głowa krzyczy na dziadka
Nie wiem co to jest? kurwa?
A Arabowie to tacy ludzie co są w Afryce
Widziałem ich w telewizji
Mama niedługo wróci
Obiecała mi przez telefon

Obiecała
Więc wróci
Ale jestem mężczyzną
Muszę nim być
Babcia mi każe

Mamy nie ma
Krzyczy? Ta kurwa puszcza się z Arabami?
Smutno mi trochę

Dariusz Szymanowski

Układy okresowe [fragment]

A potem umrę po raz drugi. Jak się umiera po raz drugi?

ZBIGNIEW HERBERT

Jeśli zapomnisz swoje imię, pozwól ludziom nazywać się nikim – powtarzał to zawsze wtedy, gdy ktoś krzyżował mu plany.

- Pani jest chora, ale pani mąż także – ten młody gówniarz, niby lekarz, powiedział to z uśmiechem na twarzy. Miałam chęć rzucić w niego czymkolwiek; tym, co miałam w ręku, ale wtedy nic nie miałam. I nic też nie stało na biurku. Żaden telefon, kalendarz czy kwiatek, fotografia żony. Nic.

- Czy pani mnie słyszy? – powtarzał – teraz wypiszę pani receptę. Dla męża także. Właściwie trudno powiedzieć, u kogo choroba postępuje szybciej. Jej progres wciąż jest nam nie do końca znany.

- Czy ja go zapomnę?

- Nie od razu. Stopniowo. Najpierw jakieś szczegóły. Jego imię. Datę ślubu.

- A on?

- On także zapomni datę ślubu.

- A mnie?

- To ja może wypiszę już te recepty.

24 lutego

Niedługo stanę na niewidzialnej granicy. Pomiędzy mną wtedy a mną teraz.

Jeszcze wszystko pamiętam. Poznają jego twarz; głos, kiedy mówi do siebie. Znam jego imię i rozmiar koszuli, a mimo to wiem, że niedługo obudzę się obok kogoś zupełnie obcego.

Pozostaje nadzieja, że ktoś nam to przeczyta tego dnia, w którym nasza pamięć zgubi ostatnią kartkę.

27 lutego, południe

To tylko dzwonek. Dzwoni zwykle kilka razy na dzień. Zaczyna nad ranem, gdy A. przynosi gazety i świeże pieczywo. Potem na kilka minut przed godziną dziesiątą jego dźwięk rozbrzmiewa za sprawą listonosza, który pojawia się u nas prawie każdego dnia. Kiedyś to ja odbierałam korespondencję, podpisywałam listę i opłacałam przesyłki. Dzisiaj jednak, kiedy nie wstaję już z łóżka, ten obowiązek spadł na A. Dlatego dzwonek skowyczy niekiedy dłużej niż zwykle. Jego gabinet znajduje się na tyłach domu i zdarza mu się go nie słyszeć. Wtedy krzyczę na niego, a on biegnie przez cały dom przewracając przy tym, co popadnie. Słyszę jego ciężkie kroki, a tuż po nich ochrypliły głos listonosza.

Zastanawiam się nad kupnem komputera; podobno maile można odbierać leżąc w łóżku.

28 lutego

W nocy znów nie mogłam zasnąć. Z rynku dochodziły odgłosy sobotniej zabawy. Przypomniały mi się potańcówki w barce nad rzeką. Lustro wody było wtedy tak czarne, że gdy się człowiek wychylił za barierkę łajby, spokojnie mógł dostrzec wyraźnie swoją twarz.

Mamy z A. takie zdjęcie. Nasze twarze odbite w wodzie; moja, równo od środka nosa, rozmazana jest delikatną falą. Na tym zdjęciu po raz pierwszy zobaczyłam siebie jako starą kobietę.

Muszę napisać do Sary. Trzy listy od niej leżą na komodzie tuż przy moim łóżku. Nie odpisałam dotąd na żaden z nich. Jeszcze gotowa pomyśleć, że nic mnie nie obchodzi, że o mnie myśli. Znam Sarę od dawna. Razem kończyłyśmy szkołę. Ona wyjechała do pracy w teatrze na północy, a ja wysłałam za młodego reżysera, który jak żaden inny potrafił sprawić, że choć na chwilę przestawałam gadać.

2 marca

A. wyjeżdża do Hagi na odczyt. Mną ma się zająć Ludmiła, którą S. zamówił jako pomoc domową. Podobno świetnie gotuje i jeszcze lepiej opowiada różne historyjki i anegdoty. Niech no się tylko okaże grubą, wredną małpą. O ileż łatwiej będzie mi ją wtedy polubić.

3/4 marca

Piję kawę, palę papierosy. W środku nocy.

Ten dzień skończy się dopiero za kilka lat. Minie trochę czasu, zanim nie będę mogła przypomnieć sobie tej twarzy. Na pewno się skończy.

Nigdy nie mówimy o nim, choć A. przeczuwa, że nigdy się nie wyzwolę spod jego uroku. A. był pierwszy, choć nie będzie ostatnim. Nawet on o tym wie. Nie wie tylko, kim będzie dla mnie ten nowy A.

Czy teraz śnię mu się? Tak dziwnie ściska powieki i odwraca głowę. Czy w swoim śnie mnie dotyka? Czy w jego śnie moje nogi mogą spleść się z jego nogami?

5 marca

Dzisiaj po raz pierwszy nie poznałam A. Stał w szlafroku, pochylony nad kuchennym stołem. Podszedł i próbował mnie pocałować. Wyrwałam się i stłukłam przy tym szklankę. Potem mówił, że to nic.

Wieczorem ma przyjechać lekarz. Wystawi receptę. Odjedzie.

6 marca

Pierwszy dzień bez A. Znoszę to dobrze, bo wreszcie nikt nie tłucze szklanek podczas mycia. Mężczyznę w domu powinno się mieć tylko na wyjątkowe okazje. Jedną z nich mógłby być popsuty kran albo konająca żarówka. Czasami noc albo dzień, sam poranek.

O mężczyznach ciągle przesiadujących w domu mam jak najbardziej złe zdanie. Są wierni jak parapety. Z czasem zapuszczają się, przyjmując na siebie każde gównno. A tu by się chciało raczej ptaka, za którym można pognać. Hen...

A. czasami – Bogu dzięki – wyjeżdża i daje mi wolne od siebie. Na koniec jednak to ja dzwonię i pytam – „Kiedy wracasz?”.

7 marca

Dzisiaj tylko to. Na nic więcej nie mam siły.

8 marca

Nigdy nie pomyślałam, aby zdradzić A., a teraz zdradzimy się oboje z jednym i tym samym facetem. Pierdolony Alzheimer. Niech to szlag.

19/20 marca

A. przynosi kwiaty do domu. A. wkłada kwiaty do wazonu i stawia go na komodzie przy łóżku. Dzieje się tak zawsze w piątek, gdy A. ma wolne i bierze się za porządki w ogrodzie. Moje kalectwo nie pozwala mi zapomnieć, jak bardzo mnie kocha. Mimo iż od bardzo dawna nie jesteśmy ze sobą tak, jak byśmy tego chcieli. To znaczy, nie zawsze wszystko nam wychodzi. Mimo to, co piątek przynosi mi kwiaty. Stawia je na komodzie. Dotyka mnie. Zdaje mi się, że nigdy nie byliśmy tak blisko. Paraliż nie pozwala mi czuć. Jakież szczęście, że została mi wyobraźnia. Czy to oszustwo? A przecież niczego nie udaję, w przeciwieństwie do tych wszystkich kobiet, które piszczą, duszą się i charczą, wzdychają, a przecież w gruncie rzeczy jedynym odczuciem, jakiego doświadczają, jest niewyobrażalny ból; ich ciało rozdierane obcym ciałem. Poddające się. Udające od początku do końca. Od strachu, aż po skurcze podbrzusza.

Ja nic nie czuję. Nie udaję więc, że jest mi dobrze wbrew.

Jest mi dobrze, bo nareszcie opuścił mnie cały ten lęk.

25 marca

Moja stara maszyna do pisania trafiła pod łóżko, a jej miejsce, na specjalnie przygotowanym stoliku na kółkach, zajął komputer. Jest niewielki. Czarny i trochę przypomina mojego poczciwego mercedesa. Z tym, że ma ekran i świeci tak jasno, że nocą ściąga wszystkie śmy z okolicy. Trochę przeszkadza mi cisza. Cóż, trzeba się będzie znów przyzwyczaić.

Wczoraj kolejny raz zaczęłam czytać „Burzę”. „I skończyć przyjdzie mi w rozpacz”...

Potem A. przyniósł dwa filmy, które oglądaliśmy długo w nocy. W końcu zasnęłam i śniła mi się moja nienarodzona córka.

26 marca

Wystarczyły dwa pierwsze słowa, aby znów zacząć pisać. Piszę od rana. A. w pokoju obok tłucze się po kątach. Słyszę, jak przewraca książki, a potem cicho klnie, nie chcąc mnie obudzić. Do mnie przyjdzie dopiero za jakąś godzinę. Przywita się. Przyniesie kawę. Zapyta, co będę dzisiaj robić. Potem wyjdzie na zajęcia. Jest wtorek, więc ma dwa wykłady na Uniwersytecie, a po południu musi pojawić się w ratuszu, gdzie uczestniczyć będzie w jakiejś debacie. A. nie bardzo lubi takie spotkania. Twierdzi, że ziemia, po której stąpają dyskutanci, jest tak jałowa, że nawet nawożenie jej hektoli-

trami wódki nie daje rezultatów. Wieczorem znów będzie narzekał. A ja jak zwykle będę się z niego śmiała.

28 marca

Muszę coś wymyślić. Muszę zapamiętać jak, umrze A. Muszę zapamiętać chociaż to.

1 kwietnia

Materac się wyrobił. Lekko zapadam się do środka. Tym razem na pewno potrzebna będzie wyprawa do sklepu. Nic nie da podstawianie pod łóżko skrzynek po winie.

„I would it were bed-time, Hal, and all well”.

3 kwietnia, nie znam godziny – zegarek stanął

Kiedy Jerome pisał „Trzech panów...” przyświecał mu – i mnie – znany od zawsze stan ducha, który niektórzy zwykli nazywać nudą. Cóż było robić w deszczowym Londynie? Cóż można robić tutaj?

A. marzy się wyjazd nad morze. Mnie wyjazd z A.

4 kwietnia

Pozostaje mi zapamiętać przyszłość. Tylko ją mogę zmyślić od początku do końca.

5 kwietnia

Niech będzie. Oto początek.

A., ta moja tamaga, spadł ze schodów. Prawą nogę ma w gipsie, a na głowie bandaż. Przypomina mi teraz Apollinaire'a. Pani Ludmiła opiekuje się nami obojgiem. Dziś przyjdzie, aby mnie umyć. Dotąd zawsze robił to A. Od wczoraj ogarnęło mnie więc dziwne uczucie. Strach i pragnienie, jak przed pierwszym pójściem z kimś do łóżka. Ludmiła jest tylko o rok ode mnie starsza. Jej dłonie wyglądają na ciepłe. A ja czasami zapominam, że nic nie czuję. Zaczyna się to gdzieś od wysokości moich piersi, lewej ręki, aż po stopy. Potrafię za to odwrócić głowę i prawą ręką napisać te słowa.

Ciekawe, czy kiedykolwiek przeczytasz to, Ludmiło. Ludmiło.

6 kwietnia

W nocy A. bardzo kaszłał. Chyba się dławił, bo co jakiś czas musiał splunąć, a potem ciężko oddychał. Styszałam, jak próbował wstać. Około trzeciej wszystko ucichło. Zasnęłam. Teraz jest południe. Ludmiła jeszcze nie przyszła, a mnie słońce razi wpadając do pokoju przez otwarte na oścież okiennice. Z pokoju A. nie dochodzi żaden dźwięk. Wołam go. Kiedy wreszcie przyjdzie ta Ludmiła?! Powinien był już zacząć narzekać na ból, a tu cisza. Może tylko śpi.

1 maja

A. zmarł nad ranem. Tak powiedział lekarz po wcześniejszym wypatroszeniu mojego męża. Ciekawe, co pozwoliło mu to stwierdzić? Napuchnięty żołądek, z którym S. podobno po raz pierwszy wyglądał na swoje 80 kilogramów? A może broda, która zdążyła odrosnąć do pogrzebu? Czy to naprawdę ważne, kiedy i jak mnie zostawił?

Powtarzam to jego odejście odczytując je z kartki. Oto i cała moja papierowa pamięć.

A teraz to nie będzie mi mówił o niczym. Sara pisze, że z pewnością, zanim umarł A., „w jego piórze zastygł atrament”. Nie wiem, gdzie zapodział swoje pióro. Ludmiła nigdzie nie może go znaleźć.

Tylko mnie ciągle pozostaje czas. „I na tym można tu poprzestać”.

2 czerwca

Minął miesiąc. Naprzeciw łózka, na ścianie wisi kalendarz, w którym Ludmiła skreśla każdy kolejny dzień czerwonym flamastrem. Cały maj pokrył się już krzyżykami. Od wczoraj mamy nowy miesiąc. W prawym rogu nowej karty stoją tylko dwa czerwone ikсы. Wszystko, co było, jest przekreślone. Unieważnione dwoma pociągnięciami pisaka.

We środę przyjedzie do mnie Sara. Z wnukiem, który dopiero co obronił się na medycynie. Ma być moim rehabilitantem, a ja jego praktyką. To chyba uczciwy układ.

4 lipca

W sobotę nastąpił kryzys. Sara wyszła z domu około południa i wróciła do domu w środku nocy. Nie pytałam, gdzie była, ani z kim. Aron, wnuk Sary, jest nad wyraz miły i inteligentny. Zgodnie z zasadą, że najlepsze cechy dziedziczy się dopiero w drugim pokoleniu, muszę przyznać, że robi na mnie większe wrażenia niż jego humorzasta babka. W najbliższy czwartek wszyscy, to znaczy ja, Sara, Aron i Ludmiła, jedziemy nad morze. Zabiera nas przyjaciel Ludmiły. Wielce szanowny pan Zygmunt. Stary znajomy S. To przez niego w dużej mierze Ludmiła znalazła się u nas. U mnie. Wciąż wszystko odmieniam przez liczbę mnogą. Czasami mam wrażenie, jakby i mnie pogrzebali żywcem.

6 lipca, nad ranem

Codziennie: mycie, wycieranie, smród spoconego ciała. Posikana pielucha, bo znów sniło mi się, jak siedzę na klozecie. Przypuszczam, że to wszystko ze strachu. Czasami noc trwa tak długo. Budzę się koło pierwszej i patrzę w sufit jak w zegarek, po którym cienie biegają od prawego rogu pokoju do lewego. Latem, tuż po czwartej pierwszy jaśniejszy strumień światła oświetla nasze zdjęcie powieszony na ścianie obok okna.

Moja niepodległość została sprzedana w dniu, w którym lekarz powiedział, że teraz to już tylko łózko. Ewentualnie wózek. I parę osób wokół mnie, które pomogą mi się ubrać. Jeść nie muszę. I tak o wszystkim zdecyduje ktoś inny.

26 lipca

Od tygodni nie wychodzę z domu. No, może poza tym krótkim wyjazdem nad morze, który zresztą i tak skończył się ulewą i kłótnią. Prawdę mówiąc wolę zostać w domu niż udawać turystkę w stelażu. Kiedy ludzie gapią się na mnie jak na wybryk natury.

Sara czyta mi moje ulubione książki. Ikonologię Ceasarego najpierw mi opowiada, a potem zgaduję cnoty. Taka nasza zabawa. Ćwiczenie

pamięci. Chciałabym odwiedzić A., ale Aron wyjechał na kilka dni do Klagenfurtu na sympozjum, a żadna z nas (to jest ani Sara, ani Ludmiła) nie prowadzi samochodu. Pana Zygmunta głupio mi prosić po tym, jak ostatnio był świadkiem morskiej jatki.

2 sierpnia

Wciąż widzę go – chudego, uśmiechniętego, rozczarowanego, zakochanego, zmęczonego, piszącego. Mojego.

5 września

Ludmiła gotuje, a Sara pije. Ja już nie mogę, czuję, że zwymiotuję, jeśli nie przestanę. Chcę, ale nie mogę. Nie mogę, ale chciałabym. Żeby tak chociaż raz postawić na swoim.

6 września

- Boisz się śmierci – pyta mnie.

- Nie – odpowiadam – ja tylko umrzeć chciałam od zawsze.

- Dobrze – odpowiada.

17 września

Kolejny sen.

Dzisiaj skończę dwanaście lat. Nie może być mowy o żadnej pomyłce. Ojciec przyjedzie punktualnie o dwunastej i zabierze mnie nad morze. Matka znów będzie zła i cały wieczór nie odezwie się ani słowem. Znów pomyśli, że wychodzę z nim, aby jej nie słuchać. Kolejny raz będzie miała rację. Nigdy jej tego nie powiem. Nawet wtedy, gdy będzie umierać w szpitalu na górcę.

Rodzice rozeszli się po moich dziewiątych urodzinach. To jest w Wielki Piątek. Od tego czasu widzieli się w każdy wtorek, gdy matka otwierała ojcu drzwi i przypominała o godzinie odstawki. „O dwudziestej. Słyszysz?” – zacinała się, a on tylko machał głową na znak, że rozumiał. Ojciec wcale się do niej nie odzywał. Widać nie miał jej już nic do powiedzenia. Oboje traktowali mnie jak główniarę. Zapominali, jak bardzo jestem do nich podobna. Czasami zastanawiałam się, czy kiedyś będę równie zawzięta jak oni. A może jeszcze bardziej. Po matce został mi upór, a po ojcu głupota. Teraz wiem, że tak.

Mój ojciec całe życie pracował w warsztacie. W małym składziku na tyłach zakładu ojciec miał łózko, a nad nim wisiała mała umywalka. W kartonach ojciec trzymał ciuchy, na ścianach powiesił plakaty ze starych magazynów. Jakieś kobiety w halkach na tle sportowych samochodów. Od czasu do czasu przyprowadzał tam jakieś małolaty, aby przez kilka minut poczuć się mężczyzną. I tak przepuszczał jedną trzecią swojej nędznej pensji. Druga jej część szła na alimenty, które matka wywalczyła w rejonowym sądzie, a za trzecią ojciec jadł, pił i zabierał mnie nad morze. Gdy było ciepło. Rzecz jasna.

(...)

20 września

... □



Jakub Babicki Liryczne deKonstrukcje

Sierpniowy szum

lubię łapać wiatr

) () () () ()

siedzieć na kamieniu

&€€€€€€€€€€€€€€€€%&

nocny płaszcz ziemi

// wibracja fabryk -*/ ruchu

<><>

()()

miliardy

galaktyk

w nich

miliardy

układów

miliardy

gwiazd

<><>

///// dekodery Alpha 62))

nieskończoność to ja

to wy my wy my wy my

czyste niebo

„#”#”#”#”#”&”/”€”/!

moje oczy i funkcje falowe

pośród cudu narodzin

fluktuacji przestrzennej

nicości

=)?) wyciągam ręce

anteny kable

czas

klubowy puchar europy

.....

dziś znów tam spojrzę

Bobbie B. Barlow

Moje światła widzenie [miniatury]



GWÓDŹ

Długo nie mogłem się zdecydować na ten krok.

Co prawda już dawno temu kupiłem platynowy gwóźdź z ozdobnym, jednokaratowym brylantem w cekinie, ale nie miałem jeszcze pewności. Bałem się, że się nie zgodzi.

W końcu przyszedł ten dzień, a w zasadzie to noc. Poczekalem, aż uśnie. Wyjąłem z pudełka gwóźdź zaręczynowy i silnym ciosem wbiłem go jej w środkowy palec.

Obudziła się z krzykiem.

- Czy nie wyjdiesz za mnie nigdy? – zapytałem, zanim powaliła mnie stojącą, pod jej ręką, lampką nocną.

Gdy oboje doszliśmy do siebie, ona wyraziła zgodę i niezwłocznie pobiegliśmy do Urzędu Stanu Cywilnego.

- Świadomi praw i obowiązków – powtarzaliśmy za urzędnikiem – wynikających z założenia rodziny, uroczyście oświadczamy, iż nie wstąpimy w związek małżeński z ... (tu wymieniliśmy swoje imiona i numery kont bankowych), dopóki jedno z nas żyje.

Na znak złożonej przysięgi obcięliśmy sobie serdeczne palce.

KREM NA NOC

Tej nocy wróciłem z żoną do domu po udanej i suto zakrapianej imprezie.

Ległem na łóżku tak jak stałem, w ubraniu.

Moja żona też.

Zanim zasnęłam, zadałam sobie pytanie: dlaczego nie nasmarowała się, w swym tradycyjnym, wieczornym rytuale, kremem na noc.

Nie zdążyłam sobie odpowiedzieć. Zasnęłam.

Wczesnym rankiem obudził mnie dziwny szelest.

To szeleściła nienasmarowana skóra mojej żony.

MASMEDIA

Szedłem deptakiem. Zatrzymałem się. Przedemną, na chodniku, leżały psie odchody.

- Kupa! – krzyknąłem szczęśliwy ze swego odkrycia.

Po chwili dookoła zebrał się tłum gapiów. Każdy ze skupieniem patrzył na parujące jeszcze odchody.

- Krowa! – krzyknął ktoś w oddali.

Mój tłum rozszedł się. Zostałem sam wpatrując się uparcie w psią kupę.

Kilkakrotnie jeszcze nawoływałem, ale niewielu było już zainteresowanych.

Poszedłem szukać nowego tematu. □

Zdzisław Lomperta

PERUWIAŃCZYKOM MOIM INKOM

Wyżej niż Andy
Myśli idą
W sercach zasypiają
Słonecznych Bogów
Z ogrodów na stokach górskich
W środku złotej bramy
We śnie widziałem
Stwórcę Inków
Między dwoma wschodami Słońca
Po ciemnościach księżycza
Robią węzłki z bólu
Ściskali żal
Głębokie słowo
W Andach ukryli
Piękna twarz Inka została
Śpiew włożył
Do fletu pana
Przyjaźń zaprowadził do pamięci
Ciężkie kamienie płaczu
Wyjął
Tęsknotę wylał
Za głosem pobiegł
Gdzie echo się rozchodzi
Za kołatką życia
Przed narodzeniem się Słońca

SMAK Z PERU

Sito na dnie wiatrem dmucha
Krew zlewa się z Księżycem
Woda szumi w głębokiej głowie
Atlantyk tonie w dłoniach
Tłuką się kamienie
Flet w drodze
Pęka wyżej czas po pełni
Brzegiem życia wciąż do jutra
Po sztormach chodzą ptaki
Gniotą smak peruwiański

SYNOWIE

Leczą dusze schodzące po fiordach
Przygniecione trawą pod spojrzeniem
Wczoraj gdy przechodziłem w jesionce
A dzień chodził polami zmarznięty
Życie podskakiwało w pagórkach
W pękniętym echu pod kapeluszem
Słońce grzebie bramy w morzu
Złoty wiatr wargami śpiewa
Dusze dzwonią pod nocnym sufitem
Góry ciekną między Słońcami
A marzenia siedzą w Andach

SŁOŃCE W PERU

Ja Słońce
Syn Słońca
Przez Andy wschodziłem
Złotymi promieniami
Na rękach Inków
W rzekach zanurzałem światło
Ja Słońce
Syn Słońca
Bramę zbudowałem
Ze szczerego złota
Dla bogów Słonecznych
Władców
Małych Inków
Ja Słońce
Właściciel piramid
Schodami chodziłem
Przesilenia puszczając
Ze złotej kukurydzy
Ja Słońce
W Nazca przebywałem
W suchym wietrze lądowałem
Na morzu zwierząt piaszczystych
Ja Słońce
Światło nosilem
Do kamiennych pałaców
Pnących się do złota

Ja Słońce
Tępiony byłem
U bram Cajamarki niszczyciel Pizarro

Obok wiadomości życia
Na kamieniu z wielkiej rzeki

Danuta Sabat



MAZURY

Kiedy się czas latem wypełni
szara czapla
zakrzyczy nad stawem
perkoz
śliską głową głębinę przeniknie
kormoran
mokre skrzydła do słońca rozłoży
a wyprężona nadmiernie
trzcina
poliże językiem szorstkim...
w słojach zostanie zapach ogrodu

PTAK ZATRZYMANY

Zatrzymany
w czasie i przestrzeni
wbrew własnej woli
unoszony
wiatrem podszyty
ptak
głowę w skrzydła szare wtula
tkwi
nieruchomo
nad zieleniejącym z wolna krajobrazem
czeka na podmuch
który da mu za chwilę poczucie
że lata
że może
że potrafi
że doleci...
dokąd?

TAKA REFLEKSJA

Jak owoc, niczego nie przeczuwając
– dojrzałam
jak kwiat, ponoć piękny kiedyś
– przekwitłam
jak ptak wbrew własnej woli w klucz
wpięty – wzniosłam się
choć ... nigdy, mówiąc prawdę, nie
umiałam latać...

NA WIOSENNYM STOLE

Na wiosennym stole leżą myśli...
niedojrzałe, jeszcze całkiem zielone
po prawej moje
po lewej – twoje
związuję je, zaplatam bezwonnym
powojem
czy powój nie dość mocny? – pytam
z niepokojem
bo za nic się nie splata twoje z moim



Bobbie B. Barlow

JEDEN DZIEŃ Z ŻYCIA SZKLANKI

Budzik. Krzyczy brzęcząc przeraźliwie, świdrując w uszach piskliwością dwóch tonów. Ufff. Zbawienna ręka gospodarza silnym uderzeniem wyłącza go. Ciężkie, zaspane, wyrwane ze snu nogi człapią powoli do kuchni. Zatrzymują się. Słychać tylko przytłumiony ziewaniem odgłos przełącznika światła. Znowu parę kroków. Odgłos unoszenia czajnika znad płytki gazowej. Szum wody wlewanej do otworu, uderzającej o blaszane dno. Brzęk metalu o metal. Czajnik spoczął na kuchence. Gospodarz otwiera szafkę kuchenną i wyciąga stary, granatowy, w żółte kropki kubek. Obraca go w rękę. Rozmyśla się. Odstawia kubek i bierze zwykłą szklanę, z której w ostatniej chwili, niepostrzeżenie, ucieka karaluch. Stawia ją na stole. Wsypuje dwie kopiaste łyżki kawy i zalewa je wrzątkiem. Czeka, aż kawa wystygnie, po czym wypija ją duszkiem. Wstaje od stołu. Płucze szklanę w zlewie pod bieżącą wodą i stawia ją na suszarce, na parapecie okiennym. Za oknem, zza linii horyzontu, nad lasem, unosi się czerwona kula wschodzącego słońca. Dzisiejszy dzień, chociaż listopadowy, zapowiada się słonecznie i ciepło.

Na talerzu leży już zimny kotlet, kilka ziemniaków posypanych koperkiem i surówka z czerwonej kapusty. Przy stole, nad zimnym obiadem siedzi córka gospodarza domu i bawi się pustą szklaną.

- Zjadłaś już? – dobiegł głos ojca z pokoju.
- Nie! – odpowiedziała córka. – Nie jestem głodna! Nie będę jadła!
- Jak nie zjesz, to nigdzie nie wyjdiesz!
- To nie! Nie będziesz mnie zmuszał do jedzenia!
- Ty gówniaro! Będziesz mi tu wybrzydzała? To ja sobie wypruwam żyły, haruję jak wół, żeby było co do gara włożyć, a ty mi tu wybrzdzasz? Marsz do pokoju. I nie wychodź, dopóki ci nie pozwolę!

Odstawiła szklanę, wstała od stołu i posłusznie, w milczeniu, poszła do swojego pokoju. Na stół wskoczył kot. Rozejrzał się i zrobił

kilka kroków stąpając bardzo cicho, delikatnie, między talerzami. Zatrzymał się przy szklance i oblizał jej brzeg. Przykucnął. Rozejrzał się nerwowo i zeskoczył ze stołu.

Noc. Bezchmurne niebo nie przeszkadza księżycowi świecić swym blaskiem w ciemnej kuchni. Gorąca kawa paruje. Przy stole siedzi córka, czekając, aż napój wystygnie. Podtrzymując głowę rękoma wspartymi o stół na łokciach, nie słyszy i nie widzi kota zbliżającego się do niej bardzo cicho. Kot muska ją zimnym nosem po nagim policzku. Wystraszona podrywa głowę do góry, nabierając jednocześnie, bardzo szybko, powietrza do płuc. Wypuszcza z ulgą powietrze spoglądając na kota. Podnosząc rękę, by ukarać zielonookiego przyjaciela, strąca ze stołu szklanę. Spada. Mimo iż spada ułamek sekundy, wydaje się, że ta chwila trwa o wiele dłużej. Jakby wszystko działo się w zwolnionym tempie. Jak w filmie, klatka po klatce. Czarna plama kawy wymieszana z rozbitym szkłem tworzy nieforemną plamę na podłodze kuchennej.

- Do diaska! – głos ojca dobiega z pokoju. – Kto o trzeciej rano hałasuje w kuchni?

W odpowiedzi słyszy tylko uciekające kroki.

Budzik. Krzyczy brzęcząc przeraźliwie, świdrując w uszach piskliwością dwóch tonów. Ufff. Zbawienna ręka gospodarza silnym uderzeniem wyłącza go. Ciężkie, zaspane, wyrwane ze snu nogi człapią powoli do kuchni. Zatrzymują się. Słychać tylko przytłumiony ziewaniem odgłos przełącznika światła. Znowu parę kroków. Odgłos unoszenia czajnika znad płytki gazowej. Szum wody wlewanej do otworu, uderzającej o blaszane dno. Brzęk metalu o metal. Czajnik spoczął na kuchence. Gospodarz otwiera szafkę kuchenną i wyciąga z niej nową, ładną, o grubym szkłe szklanę. Karaluch zaspał. Gospodarz stawia szklanę na stole. Wsypuje dwie kopiaste łyżki kawy i zalewa wrzątkiem. □

Kanion lektur

ZIEMIA OBIECANA

Zastanówmy się przez chwilę, czy w obecnych czasach Reymont ze swoją „Ziemią obiecana” mógłby liczyć na przychylność potencjalnych czytelników. Pomijając fakt, że powieść ta jest literackim kno-tem, pierwszą rzeczą, która nas odrzuca, jest tytuł.

Każdy, kto wzięty do ręki książkę z tytułem „Ziemia obiecana”, pomyślałby, że to jakaś epopeja o narodzie wybranym. A kogo to dzisiaj obchodzi?

Biorąc to wszystko pod uwagę, Reymont, zamiast „Ziemia obiecana”, powinien dziełu swemu nadać tytuł bardziej będący na czasie, a mianowicie – „Obiecanki-cacanki”.

Druga sprawa – historia Karola, Maks i Moryca, którzy postanowili założyć jakąś tam fabrykę śrutu, drutu czy giętych parasoli, jest już tematem cokolwiek nie na czasie. Również wywody Reymonta, że wielkie miasto i cywilizacja przemysłowa demoralizują i poniżają jednostkę, jest tak samo wielkim odkryciem jak powiedzenie, że już niedługo tylko złom będzie najcenniejszym bogactwem Polski.

„Obiecanki-cacanki” powinny być powieścią mówiącą o tym, co należałoby zrobić, ażeby zarobić, ale się nie narobić i żeby coś jeszcze z tego zostało. To właśnie – w dzisiejszych czasach – wszystkich interesuje. I głównie z tego powodu, iż obecnie kapitał to nie są te pieniądze, które my mamy (o ile w ogóle mamy), ale te, które mają lub mogą mieć inni.

Dlatego też Karol, Maks i Moryc powinni się zająć innym interesem.

I zapomnieć o takim pojęciu jak szczęście. Szczęście bowiem powstaje tylko jako produkt uboczny podstawowej działalności, jak np. koks. Ale mniejsza z tym.

Na myśli mam działalność polityczną.

Moryc Welt powinien zostać ministrem skarbu, który wcześniej prze-handlował Maksowi Baumowi. Ten z kolei stracił wszystko na rzecz Karola Borowieckiego przegrawszy skarb w grę karcianą pod tytułem „66”. Karol, jako uczciwy i z krwi i kości Polak, winien zgłosić *votum* nieufności wobec Moryca (bo co to za minister od skarbu, którego nie ma?). Moryc zapewni, że skarb jest i na świadka, że tak jest, powoła Maks. Ten oczywiście potwierdzi, bo przecież nie przyzna się, że skarb przegrał w karty. Karolowi natomiast wsiądzie na kark Urząd Skarbowy i wymierzy zaległy podatek od skarbu, który Karol od Maks wygrał w karty.

Z tego podatku otrzyma pensję Moryc, odszkodowanie Maks, natomiast Karolowi znów nic nie zostanie i ujrzymy go, jak krąży po podwórkach i ulicach z wózkiem do transportu złomu.

Tak zbudowana fabuła „Obiecank-cacank” w pełni oddałaby dzisiejszą rzeczywistość i w dodatku powiedziałałaby dobitnie to, o czym wszyscy doskonale wiemy, że o wiele łatwiej jest bogatych sprowadzić do poziomu biednych niż biednych podciągnąć do poziomu bogatych. Gdyby jeszcze na koniec Reymont jakimś sposobem przemycił w treści współczesną definicję demokracji, że jest to najsprawiedliwsza forma sprawowania władzy w kraju, bo co prawda rządzą nim wszyscy, ale rujną tylko wybrani, i gdyby jeszcze podał sposób, jak zostać tym wybranym, to z pewnością mógłby kandydować, o ile nie do Nobla, to być może do Nike, a może i nawet do Press Foto, Camerimage lub Fryderyka, hej!

Co by było gdyby...

Co by było, gdyby Kornela Makuszyńskiego „Koziołka Matołka” napisał Franz Kafka?

Uff! To straszne! W świetle „literatury wysokiej” supozycja taka bezwzględnie podlegałaby reżimowi co najmniej podwójnej spowiedzi w ciągu tygodnia i trzeciej w niedzielę! To, że Kafka wprowadził do literatury robaka, miało być przesłanką, że mógłby również wprowadzić Koziołka? A nawet gdyby, to czy historii o Koziołku nadałby tytuł „Koziołek Matołek”? W życiu! Kafka zmieniłby go natychmiast na „Koziołek ma dołek”.

Główny bohater dla niepoznaki otrzymałby inicjał *everymana*, czyli krótkie „K” pisane z dużej litery. Dlaczego? Ano dlatego, że gdyby Kafka zastosował technikę Makuszyńskiego i zamiast „K” podał pełne nazwisko Koziołka – to cała intryga stałaby się zrozumiała nawet dla dzieci w wieku przedszkolnym. Przecież to tak, jakby wkręcić nad głowę czytelnika żarówkę marki „Osram”, która co prawda rzuciłaby światło na tę całą kafkowską symbolikę, ale kto z czytelników chciałby pod taką żarówką siedzieć?

Zatem główny bohater, K., zamiast szukać Pacanowa, zostałby wyznaczony ni z tego ni z owego, geometrą, a że z geometrii, jak to każdy koziołek, byłby głupszy nawet od własnej bielizny, kręciłby tymi przyrządami jak przysłowiowa małpa kurkiem. I co by się okazało?

Że, na przykład, Ziemia jest sześcianem. Oczywiście po takim stwierdzeniu powinno się K. natychmiast zwolnić z urzędu, bo przecież wszyscy wiemy już od dawna za sprawą Kopernika, że z tą ziemią jest akurat odwrotnie.

Jednak K. nie zostaje zwolniony, a ponieważ coś mu ten sześcian jakoś nie leży, nerw go bierze, bo Kopernik już dawno umarł i nie ma się kogo zapytać, jak to naprawdę z tą ziemią jest. Szuka więc kogoś, kto by go przynajmniej zwolnił, ale nie ma nikogo ani obok, ani za nim, ani pod, ani nad. Zostaje mu tylko dane do zrozumienia, żeby się nie podniecał ruchowo i dalej piastował urząd, bo każą mu w zamian Gargamela narysować. Tu konflikt się pogłębia, bo K. może i chciałby Gargamela narysować, ale nie ma pojęcia, jak on wygląda. My oczywiście, czytając ten fragment, uruchamiamy wyobraźnię i w duchu mówimy: „No, jak to, K., Gargamela nie widziałeś?”

K. zaczyna coraz bardziej popadać w frustrację i dochodzi do wniosku, że skoro nie powinien się ruszać z miejsca i tylko siedzieć na urzędzie, jak jakaś trzcinka lub trawka w glebie, to może lepiej będzie, jak sobie wszczepi chlorofil i wszystkie problemy miną.

Niestety K. to „K” i leży w drugiej połowie alfabetu, zanim więc do niego dojdzie, to trochę czasu musi upłynąć. Więc K. ma dołek.

Takie to byłyby dzieje Makuszyńskiego „Koziołka”, którego pisałby Franz Kafka. Karrafka. □





Paweł Salamucha „Komedia pornograficzne” [fragmenty]

Czekając na tramwaj

Czekali na przystanku autobusowym.

On gładził włosy i wzdychał głośno, i wył. A ona... tylko tak.

- Szybciej, biegnij – pośpieszał, gdy uciekał im tramwaj.
- Nie ma już w tobie tej energii, co dawniej. Już nie – powiedział.
- Kochasz mnie? – wysapała, gdy się zatrzymali.

Zadyszany oparł się o jakąś brudną ścianę, na której wisiał plakat przedstawiający podstarzałego Charlesa Bukowskiego. Otarł pot z czoła i spojrzał w niebo.

Zobaczył: szczyt piętrowca, drzewa, chmury i niemalże samolot.

Stado gołębi przemknęło z jednego dachu na drugi. Promienie słońca rażyły oczy, więc je zmrużył. Po sekundzie twarz zrobiła się ciepła. Opuścił głowę, wzrok zatrzymał na wysokości jej oczu. Kropelki potu wypływały spod czarnych farbowanych włosów.

- Kochasz mnie jeszcze? – zapytała ponownie.
- Kocham, a ty mnie?
- Ja też.

Od czasu do czasu warto się spalić

9:00

Jadąc autobusem spotkałem swojego dawnego idola. Jeszcze pamiętam, kiedy chciałem być taki jak on. Charakteryzowała go średniowieczna rycerskość. Jeżeli wiecie, o czym mówię.

Aha i ostro dawał czadu na gitarze. Nie jadł mięsa i chciał zbawić świat.

Jeszcze pamiętam, jak go słuchaliśmy, kiedy przemawiał do nas, opowiadając o ekologii.

Przejeżdżając obok supermarketu zobaczyłem, jak dumny wchodzi do środka. Z tym, że sam. Śmieszna sprawa – rycerz bez świty. Nawet bez konia.

To tak jakby prorok nowej ery odprawiał mszę przed tłumem pustych krzesel.

Dziwny gość. Pamiętam, jak kiedyś rzucaliśmy kamieniami w cyrk.

Na dworcu

Na dworcu kolejowym w Olsztynie, gdzie musiałem przenocować (ucieł mi ostatni pociąg do domu), poznałem Pana Franka. Był to, jak mniemam, mieszkaniec dworca, bezdomny pijaczyna. Dziwak, i, jak się w końcu okazało, sprytny hochsztapler...

Zaczynając od początku.

Wysiadłem z wagonu, aby się przesiąść. Do odjazdu następnego pociągu zostało jeszcze 5 minut, więc poszedłem kupić jakieś zarcie do budy na zewnątrz. Gdy wróciłem, pociągu już nie było, tylko lśniąca pusta tory. Widocznie zegarki mój i maszynisty nie były zsynchronizowane.

Lekko przybity usiadłem na ławce i ugryzłem kęs gumowej zapiekanki.

Była godzina 23:37, a 13 minut później podszedł do mnie jakiś menel i powiedział:

- Pływałem w jeziorze, łowiłem księżyc.
- Czego chcesz staruszk? – odparłem i w myślach dodałem – „jesteś wariatem!”
- Nie jestem.
- Co?
- Nie jestem wariatem... powiedziałem – oznajmił.

Wprawił mnie tym w zakłopotanie. Jasnowidz czy co?

Spojrzałem na jego uśmiechnięty zapijaczony pysk, niżej czekała już wyciągnięta w geście przyjaźni brudna dłoń.

- Jestem Franek – przedstawił się Franek.
- Paweł – uścisnęliśmy sobie ręce.
- Ucieł ci ostatni pociąg – stwierdził.

Miałem wrażenie, że czyta w moich myślach. Nie czułem tego fizycznie. Sądziłem tak po przebiegu naszej rozmowy. Wiedział wszystko..., ale, to jest niemożliwe.

- To jest możliwe i właśnie to robię. Wiem o tobie wszystko.
- Wszystko? – zapytałem przerażony faktem, że być może w tej



chwili nieznajomy poznaje moje najskrytsze tajemnice.

Nie wiem dlaczego, ale przypomniało mi się, jak pierwszy raz biłem konia.

- He He He – zaśmiał się robiąc wymowną minę.

Było w tym coś groteskowego.

- Chodź, młody, pokażę ci coś – zaproponował.

- Dobra, idziemy – oczarowany nowo poznanym, zgodziłem się bez wahania. Ruszyliśmy.

Podążaliśmy jakimiś podwórkami, ciemnymi uliczkami i brudnymi starymi kamienicami. Wydawało się, że zna jedynie tę starą i przegniłą część miasta. Szliśmy dalej, okolica stała się ciemniejsza i bardziej groźna. „Legia Pany” – przeczytałem napis na ścianie zrujnowanego domu, który właśnie mijaliśmy. Zacząłem odczuwać pewien dyskomfort, który miał się później przerodzić w strach. Więc szliśmy nadal, teraz jakby szybciej. Wciąż tylko syf, kiła i mogiła. Straciłem nadzieję, że to będzie coś interesującego.

- Gdzie jesteście – zawołałem za Frankiem.

- Niczego się nie bój – powiedział i za chwilę dodał – jesteście już blisko.

W końcu, ominąwszy wielką kałużę rozlaną na pół ulicy, zatrzymaliśmy się. Wkoło panowała ciemność. Byliśmy, jak się domyślałem, na jakimś podwórku otoczonym kamienicą. Jedyna droga, którą można tu trafić, jest tą, którą przyszliliśmy. Podwórze porośnięte niskimi drzewami i krzakami otaczał mur starych, rozpadających się budynków czynszowych. Czuć było zapach zgnilizny i fetor dawno niewyniesionych śmieci. Panował klimat rozkładu znany z filmu „Powrót żywych trupów”.

- Mam nadzieję, że nie chce mnie zabić – pomyślałem, ale było tak, jakbym powiedział na głos, bo zaraz Franek odpowiedział: – Nie bój się, nic ci nie grozi.

Wolno ruszył przed siebie. Idąc jego śladem, zagapiłem się na coś w mroku.

Przed nami, jakieś 20 metrów, była sterta liści lub jakaś górka. Było ciemno, więc nie widziałem.

Franek podszedł do tego i zatrzymał się. Ukucnął i zaczął rozgrzebywać kopiec. Po sekundzie stałem za jego plecami. Liście okazały się być stertą śmieci, starych gazet, reklam supermarketów i folii, spod której wyłoniła się ludzka twarz.

- Co to jest? – wyjęczałem przerażony.

- Ludzkie zwłoki – odpowiedział ze stoickim spokojem Franek.

- Kurwa! Jesteś jakimś mordercą? – rozglądałem się, chciałem zwiewać.

- Nie bój się, młody, to nie jest tak, jak myślisz – położył ufajdaną dłoń na moim ramieniu, co pewnie miało mnie uspokoić. Szczerze mówiąc odrobinę pomogło.

- Więc to nie są zwłoki?

- Nie, to dębowa rzeźba Matki Boskiej, którą kiedyś zrobiłem. Wiesz, Paweł, jestem rzeźbiarzem, a raczej byłem ... dawno temu – pod koniec zdania czuło się, że posmutniał, ale ciągnął dalej. – Miałem to coś, co kiedyś nazywano darem i umiałem go wykorzystać. Robiłem różne rzeczy, najwięcej form ludzkich, na zamówienie oczywiście. Byłem bogaty, miałem kochającą żonę i dziecko...

- Stuprocentowa sielanka jak telenowela brazylijska – powiedziałem w myślach

- ... w odwzorowywaniu natury doszedłem do perfekcji. Aż pewnej nocy przyśniła mi się właśnie ta postać – tu przerwał na chwilę i palcem wskazał figurę.

- Od razu zabrałem się do rzeźbienia. Wpadłem w prawdziwy wir pracy. Trwało to miesiąc, podczas którego przeżyłem prawdziwe katharsis. Gdy postać była już gotowa, pokazałem ją Jolce, mojej ukochanej... z miejsca poprosiła o rozwód. Wtedy wszystko się zaczęło. Strata dziecka, domu, przyjaciół i klientów. Teraz, po dwóch latach, jestem tym, kim jestem.

- Dziwak z ciebie, wiesz – zacząłem, nie dowierzałem starcowi. W końcu każdy menel ma jakąś wyuczoną historyjkę. I w końcu każdy chce jednego – drobnych na piwo.

- Nic od ciebie nie chcę – zapewnił. Porażka.

- Zapomniałem, że czytasz w myślach. Właściwie, po co mi to opowiedziałeś? Czego ty ode mnie chcesz, Franek? – zadałem najmałdrzejsze pytanie tego wieczoru.

- Myślałem, że pech mnie opuści i przejdzie na ciebie, gdy zobaczysz mojego anioła.

- Ty fałszywy skurwysynu! – zagrzałem w jego stronę. Odwróciłem się i nie zwracając już uwagi na nic odszedłem. Patrzył na mnie jak wryty. Stary dziwak. W sumie to zrobiło mi się go trochę żal. Chciał usprawiedliwić swoje nędzne życie, zwalając wszystko na ikonę. Pewnie skradzioną z pobliskiego kościoła.

Gdy wypadłem z bramy, którą przyszliliśmy, potrącił mnie samochód. W szpitalu powiedzieli, że to pijany kierowca – lecz go nie złapali. Byłem poturbowany i posiniaczony, chciało mi się spać, ale nie było mi to dane. Za chwilę podszedł jakiś lekarz z policjantem. Okazało się, że nie mam dowodu, a później, już na komisariacie, że jestem poszukiwany.

I tak rozpoczęła się historia mojego pecha, który trwa do dziś.

Jedyne, co było w tej sprawie pozytywnego. Nie wiem, jak, ale potrafię rzeźbić. Pomyślałem, że to jakiś dar.

Franka już więcej nie widziałem. Od jakiegoś czasu męczą mnie koszmary, w których nawiedza mnie dziwna skrzydlata postać...

□



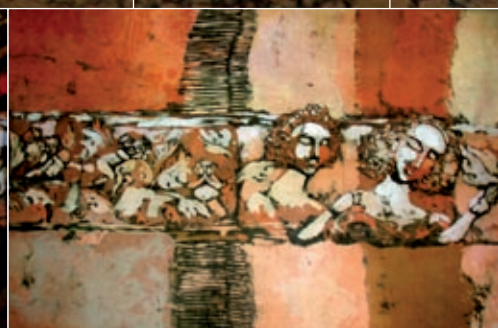
fot. G. Wadowski

O moich batikach...

W 1999 roku odkryłam dla siebie batik, technikę farbowania tkanin, wywodzącą się z dalekich wysp Indonezji. Kiedy analizuję to, czemu zajęłam się właśnie batikiem, zgadzam się z wypowiedzią Wiesława Wachowskiego, który był kuratorem pierwszej indywidualnej wystawy moich prac, wykonanych w tej technice – cyklu Zodiak z 2000 r.: „W batikowaniu fascynują ją efekty malarskie osiągnięte na płótnie w podobny sposób jak w graficznych technikach metalowych”. Faktycznie widzę analogie batiku z technikami graficznymi, zwłaszcza z ulubioną przeze mnie akwatintą. W batikowaniu jest „bezbabarwno”, tak jak rycie w blaszce czy próśnienie na nią kalafonii. Barwę nanosi się powierzchniowo, wałkiem na blachę, a w batikowaniu przez zanurzenie w kąpiel barwiącej. Kolor jest więc czynnikiem drugorzędny, ważne jest światło, które było zawsze dla mnie inspirujące. Ono kształtuje przestrzeń, daje wrażenie rzeczywistego świata.

W batikowaniu podobne do technik graficznych jest także to, że rezultat widać dopiero po zakończeniu wszystkich etapów pracy, jest on zawsze trochę zaskakujący.

Batik nie uznaje poprawek, każde pociągnięcie pędzla jest nieodwołalne, widzialne. Technika ta wymaga konkretnej formy. Może dlatego właśnie tak dobrze się w niej czuję – mogę przetwarzać świat w system znaków, uproszczonych kształtów. Tak jak w cyklu batików Zodiak (2000 r.) czy Opowieści romańskich (2002-2003 r.). Kolejne podejmowane przeze mnie tematy stają się pretekstem do nowych poszukiwań formalnych. W cyklu Odbicia (2003 r.) próbowałam odkonkretnić batik, zatrzeć granice pomiędzy poszczególnymi plamami barw, sprawić, aby przenikały się formy. Chciałam uzyskać



jedność całej płaszczyzny, zapisanej jedynie światłem. Próby te pomogły mi później w tworzeniu cyklu Zatrzymane w czasie – Olsztyński zamek (2004 r.).

W kolejnych cyklach Podróż ze światłem w tle (2005 r.) i Komentarze (2006-2008 r.) na plan pierwszy wysunęły się nie wartości formalne, a treść. Zwróciłam szczególną uwagę na to, jakie znaczenia niosą ze sobą zachowane fragmenty przeszłości. Co można odczytać, gdy jesteśmy wtajemniczeni w sytuację opisaną jedynie przez przypadkowo zachowane skrawki materii? Inspiracją w mojej twórczości są często stare malowidła, freski, rzeźby – zobaczone w trakcie podróży, nadszarpnięte zębem czasu – wypłowiałe, ledwo widoczne, uszkodzone.

Chciałabym, by moje prace były komentarzem do sztuki dawnych mistrzów, pomostem między przeszłością a współcześnie żyjącymi. Mam wrażenie, że tworzę swoiste lapidarium, w którym zbieram zachowane fragmenty swoich przeżyć.

Olsztyn, 2008 r.

Iwona Bolińska-Walendzik



Iwona Bolińska-Walendzik, rocznik 1970;

mieszka i tworzy w Olsztynie. Ukończyła Wydział Sztuk Pięknych na UMK w Toruniu. Zajmuje się batikiem, projektowaniem graficznym i ilustracją książkową. Jest autorką ponad dwudziestu prezentacji indywidualnych, m.in. w: Bejrucie, Wilnie, Warszawie, Łucku, Olsztynie, Jeleniej Górze, Nidzicy. Stypendystka miasta Olsztyna w 2003 i w 2005 r. oraz Marszałka Województwa Warmińsko-Mazurskiego w 2008 r.





Marcelina Chodyniecka-Kuberska

Projekt „Olsztyn – tożsamość” to dokumentacja rysunkowa współczesnego Olsztyna. Czarno-białe rysunki w panoramicznej formie pokazują Olsztyn z innej strony niż to z reguły bywa. Można na nich zobaczyć przestrzenie, z których mieszkańcy korzystają na co dzień, pokazane z perspektywy użytkownika, a nie turysty. Na pierwszym planie ruchliwe ulice, dopiero w tle zabytki. Wszystkie zilustrowane z poziomu wzroku człowieka.

Seria rysunków jest realistyczną dokumentacją tego, jak wyglądał Olsztyn w 2007 i 2008 roku. Oglądając je można nawet odczytać teksty na banerach reklamowych. Aby pokazać miasto w jak najszerszym spektrum, autorka sportretowała różne dzielnice Olsztyna. Wśród prac znajdują się również obiekty dyskusyjne, wywołujące wiele emocji wśród mieszkańców, a także ikony architektury współczesnej jak np. Hala Urania.

Seria rysunków ma być w przyszłości bazą do analizowania miasta, wymieniania się informacjami i poglądami na temat jakości architektury.

Autorka cały czas dokumentuje miasto, czeka na komentarze i sugestie mieszkańców, co jeszcze warto sportretować w stolicy regionu. Opinie zamieszczone przez państwa na blogu zostaną umieszczone w książce-przewodniku pt. „Olsztyn Mieszkańców”.

Baza rysunków cały czas rozwija się, na razie mamy trzydzieści sztuk, które można oglądać i komentować na blogu internetowym <http://olsztyn-tozsamosc.blog.onet.pl>. Kiedy seria osiągnie pięćdziesiąt sztuk, rozpocznie się druga część projektu „analiza miasta”, ale o niej opowiemy później.

Opis projektu, kontakt: www.marcelin.com.pl

o autorce:

Marcelina Chodyniecka-Kuberska, rocznik '83, urodzona w Nysie. Absolwentka olsztyńskiego LSP, studentka ostatniego roku poznańskiej ASP, asystentka w pracowni architektonicznej w Warszawie. Największą miłością darzy jednak ziemię warmińską, która inspiruje, daje siłę i nagradza swoim pięknem wszystkie nawet najtrudniejsze działania.



Przebudowa i modernizacja istniejącej struktury zabytkowego budynku WBP w Olsztynie dla celów kultury



P L A N Y



„Willa z widokiem na cmentarz” – tak o budynku WBP w Olsztynie (w kontekście historycznym) pisał Łukasz Adamski (Debata, Nr 3 (6)/2008). Cmentarza na „Wzgórzu z trzema krzyżami” już nie ma. Krzyży też już nie ma. Od kilku lat jest tam bank. Jednak widoki na pieniądze, na modernizację i rozbudowę swojej siedziby bibliotekarze z WBP w Olsztynie mają dopiero od niedawna. Powstały razem z Regionalnym Programem Operacyjnym Warmia i Mazury na lata 2007-2013, który będzie w dużej mierze finansowany ze środków Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego. Przybrały bardziej konkretny kształt po przyjęciu zadania do aktualizowanego Lokalnego Programu Rewitalizacji Miasta Olsztyna na lata 2007-2015.

Dwóch lat starań i kilku lat przymiarek trzeba było, by szansa na zwiększenie przestrzeni dla biblioteki przy ul. 1 Maja w Olsztynie przybrała konkretną, choć na razie tylko obrazkową, formę.

Około 15 milionów i kolejnych 3 lat trzeba będzie, by zrealizować „Przebudowę i modernizację istniejącej struktury zabytkowego budynku WBP w Olsztynie dla celów kultury”. Tak nazywa się projekt, na który Marszałek, w przypadku zakwalifikowania projektu do realizacji, wyasygnuje ponad 2 miliony złotych, licząc, że Unia Europejska dołoży resztę.

Dotychczas w przygotowaniach udział wzięli: obecni i byli pracownicy oraz użytkownicy WBP w Olsztynie, przedstawiciele Urzędu Marszałkowskiego, Urzędu Miasta, Urzędu Wojewódzkiego, Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Usług Inwestycyjnych w Olsztynie i Tarnowskiej Fundacji Kultury. □

E.M.



Tonie czytanie?

Wystarczy nieopatrnie wpisać niewinne przecież słowo „czytelnicтво” w jednej z wyszukiwarek archiwów internetowych tzw. „opiniotwórczych” gazet i tygodników, by zostać zalany falą informacji o katastrofalnej kondycji czytelnicтва, rynku wydawniczego i bibliotek w Polsce. Cytując obficie raport grupy badawczej IPSOS i Biblioteki Narodowej, teksty te roztaczają przed nami obraz społeczeństwa, którego większość nie kupuje, nie wypożycza i nie czyta książek, a przez to coraz bardziej zanurza się w odmętach wtórnego analfabetyzmu. Ta zaś niewielka część, która po książki sięga, czyta bestsellery pogardzane przez krytyków i jury konkursów literackich. Nie jest to wizja optymistyczna, zwłaszcza w obliczu ciągle rosnącej liczby studentów i absolwentów wyższych uczelni. Czy rzeczywiście kultura czytelnicza w Polsce upada?

Nic podobnego. Nie tylko czytamy, ale i rozmawiamy o książkach. By się o tym przekonać, wystarczy przyjść do jednej z bibliotek w naszym województwie. W wielu z nich, także w małych bibliotekach gminnych, powstały Dyskusyjne Kluby Książki, które skupiają pasjonatów literatury. Średnio co miesiąc spotykają się oni, by podzielić się wrażeniami z przeczytanej wspólnie książki. Wybór lektur należy do członków klubu, ale pomyliłby się ten, kto (zgodnie z rankingiem bestsellerów) spodziewałby się wśród nich wyłącznie przygód Harry’ego Pottera lub książki Janusza Wiśniewskiego. Obok literatury popularnej, powieści sensacyjnych, kryminalnych i obyczajowych pojawia się doceniana przez znawców polska proza współczesna, literatura faktu oraz poezja.



Diskusyjne Kluby Książki powstały w ramach Programu Operacyjnego Promocja Czytelnicтва, ogłoszonego przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, czego głównym celem było propagowanie mody na czytanie poprzez udział w interesujących dyskusjach na temat książek, uczestnictwo w życiu literackim oraz spotkania z ciekawymi ludźmi. Od maja 2007 roku klub taki działa również przy Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Olsztynie. Już podczas pierwszego spotkania, które poświęcone było książce Zbigniewa Mentzla „Wszystkie języki świata”, klubowicze rozmawiali nie tylko o „bohaterce wieczoru”, ale również o swoich własnych doświadczeniach ze słownikami, przymusowym dokwaterowaniem oraz manią zbierania gazetowych wycinków. Tradycją stało się już wzajemne polecanie interesujących książek. Rozmowy nierzadko przeradzały się w zagorzałe dyskusje, które wzbudzały nie małe emocje. Książki Llosy i Libery były przyczynkiem do rozważań

na temat pracy tłumacza, powieść „Przedział dla Pań” wywołała rumieniec gniewu u zagorzałych feministek, a utwory Murakamiego doprowadziły niemal do tego, że klub z czytelniczego zmienił się w filmowy. „Wyjący młynarz” zniósł uczestników na wody socjologii i psychologii społecznej, a kryminał „O krok” zupełnie zburzył sielankowy obraz Szwecji jako kraju spokojnego, cichego i uporządkowanego.

Do doskonałym „uzupełnieniem” działalności Dyskusyjnych Klubów Książki są spotkania autorskie. Bezpośredni kontakt z pisarzami sprawia, że lepiej ich oraz ich książki poznajemy. Bardzo owocne są też spotkania z krytykami i badaczami literatury, które pomagają zrozumieć aktualne trendy literatury współczesnej. Klub w Olsztynie gościł, m.in.: Wojciecha Kuczoka, Jacka Dehnela, Mariusza Sieniewicza, Antoniego Liberę i Marka Zaleskiego.

Olsztyński klub czytelniczy spotyka się w poniedziałki o godz. 19:00 w Czytelni Książek WBP (Stary Ratusz). Do końca grudnia klubowicze zaplanowali dwa spotkania, na które serdecznie zapraszają wszystkich zainteresowanych. Pierwsze z nich odbędzie się 17 listopada 2008 roku i będzie poświęcone powieści Bohumila Hrabala „Obsługiwałem angielskiego króla”. Aby porozmawiać o książce olsztyńskiego pisarza Włodzimierza Kowalewskiego „Excentrycy”, olsztyński DKK spotka się 15 grudnia 2008 roku. Wszystkie informacje można uzyskać w Czytelni Książek i Wypożyczalni WBP oraz na stronie internetowej www.wbp.olsztyn.pl.

Diskusyjne Kluby Książki działają oficjalnie od kwietnia 2007 r. Oficjalnie, bo nie wątpimy, że i wcześniej ludzie spotykali się, by o ulubionych książkach porozmawiać. Do dziś powstało w Polsce ponad 440 klubów, które zrzeszają około 4000 osób. Ta garstka napisała kilkaset recenzji, z czego blisko trzysta wysłano na konkurs ogłoszony przez Instytut Książki. Niejeden opiniotwórczy tygodnik nie wyda tyle przez rok. A więc klubowicze nie tylko czytają, nie tylko dyskutują, ale również piszą o książkach. Do najchętniej recenzowanych książek należą zarówno bestsellery (np. „Pachnidło” Süskinda), jak i polska literatura współczesna (np. „Traktat o łuskaniu fasoli” Myśliwskiego), czy klasyka reportażu (np. „Podróże z Herodotem” Kapuścińskiego).

Niewątpiwym sukcesem akcji jest fakt, że powstało wiele klubów dziecięcych i młodzieżowych, co dowodzi, że uczniowie czytają chętnie i nie tylko lektury szkolne. Bardzo często to oni są autorami świetnych recenzji, w których nie kierują się gustem dorosłych krytyków ani nie podejmują ich stylu. Powstaje dzięki temu baza świeżych opinii i komentarzy. Pozwala to żywić nadzieję, że z tych młodych ludzi wyrośnie pokolenie światłych i odczytanych obywateli.

Można oczywiście wytykać wadłość klubom czytelniczym w Polsce, kiedy porówna się je z tymi w USA, gdzie liczbę klubowiczów ocenia się na 750 tysięcy, czyli 0,25% ludności (w Polsce 0,01%). Ale wszystkim złośliwym powiemy, parafrazując pewnego niepokornego uczonego: „A jednak czytają”. □

Iza Frąckowiak, Sylwia Białecka



Moje! Twoje! Nasze!

Jak zapewne wszyscy wiemy, potęga Biblioteki Aleksandryjskiej wynikała przede wszystkim z licznych i bogatych zbiorów (ok. 750.000 zwojów). Potęgę tę zbudowali Ptolemeusze głównie dzięki swoim agentom, którzy wyszukiwali i skupowali cenne dzieła na całym ówczesnym rynku światowym. W XV wieku pojawili się natomiast wędrowni drukarze i wydawcy, którzy z kolei podróżowali z całym swoim warształem do określonych miejsc i tam drukowali dzieła na konkretne zamówienie.

Na współczesnych Ptolemeuszy, oprócz działań stymulujących rynek wydawniczy, nałożona została jeszcze misja związana z integracją oraz ochroną dziedzictwa kulturowego. I tym, między innymi, celom służą przeglądy oraz – wyrosłe na gruncie XVI-wiecznych aukcji księgarskich – targi książki.

Obecnie w Polsce lista oficjalnie organizowanych targów zawiera dwadzieścia cztery pozycje. Trudno jest natomiast podać liczbę wszystkich organizowanych w Polsce przeglądów, ponieważ znaczna ich część organizowana jest okazjonalnie lub ogranicza się do określonej tematyki. Również przeglądy wydawnictw regionalnych nie mają jak dotąd określonej tradycji. Dlatego tym bardziej godna uwagi jest zorganizowana w Olsztynie inicjatywa przeglądu tychże wydawnictw pod hasłem: „Moje, Twoje – Nasze”, której patronowali: Wojewódzka Biblioteka Publiczna, Wojewódzki Oddział Polskiego Towarzystwa Czytelniczego oraz Ośrodek Badań Naukowych im. Wojciecha Kętrzyńskiego. Przegląd odbył się 19 września w ramach obchodów Europejskich Dni Dziedzictwa na Warmii i Mazurach „Korzenie tradycji. Od ojcowizny do ojczyzny” i stanowił jedną z wielu imprez, jakie od 12 września do 1 października zorganizowano na terenie naszego regionu.

Podczas przeglądu zaprezentowało się osiemnastu wydawców z województwa warmińsko-mazurskiego. Wśród nich, m.in.: Borussia, Arta, Wers, ELSet, IRS, Solaris, Littera, Qmika, Wszechnica Warmińska, wydawnictwa biblioteczne i uczelniane – Towarzystwa Wiedzy Powszechnej, Olsztyńskiej Szkoły Wyższej im. Rusieckiego, Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego. Wśród książek ekspozycyjnych

nowanych przez oficyny regionalne zaprezentowano publikacje o historii i zabytkach regionu, literaturę piękną, publikacje naukowe, pięknie wydane albumy oraz kolorowe bajki.

Przeglądowi towarzyszyły imprezy literacko-promocyjne: wystawa o tym, jak powstaje książka „Bajkowe dziwy” Józefa Jacka Rojka, pokaz techniki ręcznego czerpania papieru, wykorzystywanej w warsztatach zorganizowanych w ramach projektu „Wioska Garncarska” w Kamionce. Urozmaicheniem było głośne czytanie fragmentów prezentowanych na przeglądzie książek w wykonaniu studentów Olsztyńskiego Studium Aktorskiego im. A. Sewruka.

Wszyscy odwiedzający mogli wyjść z pamiątką – odbitą na XV-wiecznej, zabytkowej prasie – grafiką przedstawiającą zamek olsztyński. Tę niespodziankę przygotowało Wydawnictwo Muzeum Warmii i Mazur.

Bibliotekarze z województwa, którzy przybyli na przegląd, uczestniczyli w warsztatach p.t. „Twórcze spotkania z książką”, które poprowadziły trenerki z Polskiego Stowarzyszenia Pedagogów i Animatorów KLANZA, panie: Anna Rodziewicz i Grażyna Ejsmont. Na zajęciach zaprezentowano różne formy pracy z tekstem, zabawy słowem, metody aktywizujące połączone z elementami pedagogiki zabawy. Jedną z form zaproponowanych do pracy z dziećmi nad tekstem było zachęcanie małych czytelników do wymyślania innej wersji znanego wiersza lub bajki.

Czy idea przeglądu wydawnictw regionalnych przyjmie się w świadomości czytelników oraz środowiska – czas pokaże. Z drugiej strony, szkoda by jednak było zaprzepaścić szansę, jaką przegląd stwarza dla promocji regionu. A może na któregoś ze współczesnych decydentów spłynie epifania (nagle objawienie) i ów rzuci hasło organizacji targów wydawnictw regionalnych? Co prawda w historii był już jeden taki Ptolemeusz V Epifanes, ale jego przykład raczej nie służy realizacji tej idei, a poza tym nie miał on żadnego związku zarówno z powstaniem jak i upadkiem Biblioteki Aleksandryjskiej. □

Iza Frąckowiak, Waldemar Tychek



Wszystkim Bajka Pomaga

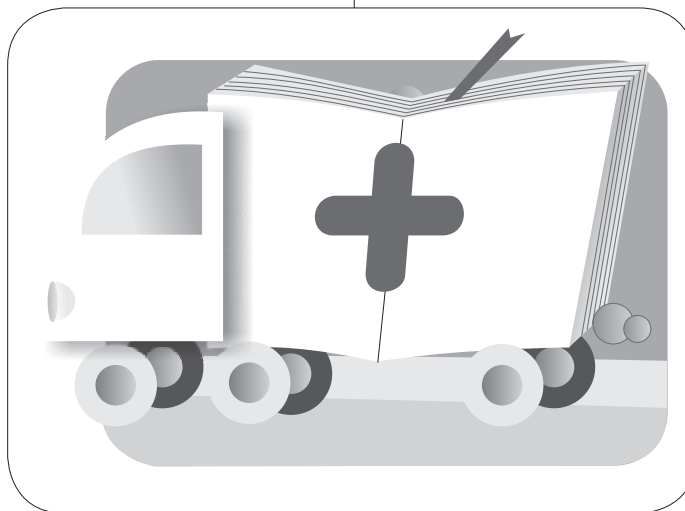
Na początku XX wieku psychoterapię kojarzono przede wszystkim z opartymi na teorii psychoanalizy praktykami Zygmunta Freuda, zaś do grona jego pacjentów należały głównie bogate, neurotyczne kobiety. Taki stan utrzymywał się mniej więcej do połowy minionego stulecia, która przyniosła dynamiczny rozwój psychoterapii, głównie w USA. Amerykańscy psycholodzy tworzyli nowe kierunki w psychoterapii, opierając się na zdobycach behawioryzmu, humanizmu oraz wzbogacając je o podejście systemowe i emocjonalne. Umożliwiło to, m.in. terapię uzależnień oraz terapię rodziny czy szerszej grupy społecznej. Czerpano również z innych dziedzin – sztuki, muzyki, literatury. Wykorzystującą tę ostatnią biblioterapia rozwinęła w swym obrębie leczenie bajką.

Właśnie bajce terapeutycznej i różnorodnym możliwościom jej wykorzystywania poświęcona była konferencja zorganizowana przez Wojewódzką Bibliotekę Publiczną w Olsztynie, która odbyła się 24 września 2008 r. Symposium skierowane było do szerokiego grona osób pracujących z dziećmi i młodzieżą, i brali w nim udział zarówno pedagodzy i psycholodzy, jak też wychowawcy, nauczyciele, bibliotekarze, studenci terapii zajęciowej i rodzice.

Konferencję rozpoczął wykład pt. „Rola narracji w rozwoju dziecka” autorstwa prof. Marii Molickiej, która uważana jest za jeden z największych autorytetów w dziedzinie bajkoterapii w Polsce. Jej wystąpienie oraz referat dr Iwony Zachciał stanowiły teoretyczne wprowadzenie do tematu konferencji i dotyczyły terapeutycznego oddziaływania bajki i baśni oraz ich roli w rozwiązywaniu problemów dzieci i młodzieży. Anna Tarnowska, Sylwia Grodzka-Samselska oraz Marek Samselski przedstawili praktyczne możliwości wykorzystania bajek terapeutycznych w pracy wychowawcy przedszkolnego i logopedy. Marta Franaszczuk-Truszkowska poprowadziła warsztaty z wykorzystaniem bajki „Zuzi Buzi” Marii Molickiej, które stanowiły przykład rozwiązania problemu samotności dziecka.

Uzupełnieniem referatów i wykładów były mini-targi wydawnictw psychologicznych i pedagogicznych, na których zaprezentowano ciekawe książki teoretyczne i terapeutyczne. Aleksandra Kissiel z Gdańskiego Wydawnictwa Psychologicznego omówiła ponadto najnowsze tendencje rynku wydawniczego oraz rozwiązania edytorskie w książkach terapeutycznych dla dzieci. Uczestnicy konferencji mogli także obejrzeć wystawę literatury z zakresu biblioterapii. Obok książek poruszających bolesne tematy, jak wykorzystywa-

nie seksualne, przemoc w domu i w szkole, prezentowano również takie, które pomagają przebrnąć przez codzienność. Przykładem może być publikacja pt. „Zbyt miła”. Historia dziewczynki, która przez swą uprzejmość traci przyjaciół, nie tylko pomaga dzieciom nauczyć się asertywności, ale również pokazuje rodzicom, jak taki trening osobowości z dzieckiem przeprowadzić.



Na rynku wydawniczym pojawia się obecnie wiele pozycji, które pomagają dziecku przetrwać w sytuacjach, które nawet dla rodziców są trudne. Książki takie jak: „Ebsen i duch dziadka”, czy „Moja mama ma raka”, to opowieści o chorobie i śmierci bliskich osób. Rodzice i opiekunowie mają też duży wybór książek o przemocy w szkole, różnicach między ludźmi, tolerancji, adopcji, rozwodzie rodziców i tęsknocie za jednym z nich. Nie brakuje też publikacji, które „bez tabu” przedstawiają intymne aspekty życia, często

związane z fizjologią, takie jak nieprzyjemne zapachy czy wydalanie. Inną nietypową propozycją są bajki terapeutyczne dla dorosłych.

Wśród publikacji pojawiły się również książki, które uświadamiają rodzicom prawo dziecka do niezależności w kwestii własnego ciała. Nie chodzi tu wcale o tzw. „zły dotyk”, ale o naturalne ciepłe kontakty z rodziną i bliskimi, np. przytulanie, łaskotki, całowanie. Nieraz przecież rodzice mówią: „daj babci buzi”, „przytul się do cici”. Dorośli są tak przyzwyczajeni do kontaktu fizycznego, że nie dostrzegają, jak trudne i nieprzyjemne może to być dla dziecka, które w zupełnie inny sposób doświadcza swego ciała. Książki „Nie lubię łaskotek” i „Już nie chcę całusów” poruszają właśnie ten, zdawałoby się, błahy problem i pokazują, że nie do wszystkiego trzeba się, w ramach rodzinnego *bon tonu*, przyzwyczajać.

Symposium „Bajka terapeutyczna” było jedną z części szerszego przedsięwzięcia realizowanego przez Wojewódzką Bibliotekę Publiczną, finansowanego ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Samorządu Województwa Warmińsko-Mazurskiego. W ramach projektu zorganizowano również wystawy książek, spotkania z dziećmi z wykorzystaniem tekstów terapeutycznych oraz przygotowano publikację „Baju Baj patataj” – bajki autorstwa Sylwii Grodzkiej-Samselskiej i Marka Samselskiego z ilustracjami Iwony Bolińskiej-Walendzik.

Zarówno różnorodność tematów wystąpień prezentowanych podczas konferencji, jak i bogactwo wydawnictw, pokazują ogromny potencjał terapeutyczny bajki, a także innych tekstów literackich.

Z tego potencjału korzystać mogą nie tylko fachowcy, pracujący zawodowo z dzieckiem, ale również rodzice i opiekunowie. Ponadto możliwości zastosowania bajek nie zamykają się w terapii dziecka skrzywdzonego, chociaż ich znaczenia na tym polu nie da się przecenić. Nawet żyjące w szczęśliwej rodzinie dziecko codziennie konfrontowane jest z nowymi sytuacjami i emocjami, których nie rozumie. Bajki i ich bohaterowie udzielają informacji potrzebnych do rozwiązania problemu. Pozwalają też zrozumieć własne emocje i prezentują możliwości reagowania na nie. Mogą stymulować procesy poznawcze, poszerzać wiedzę o sobie i innych, pokazywać nowe sposoby działania. Dziecko identyfikuje się z bohaterem bajki i zdobywa za jego pośrednictwem nowe kompetencje. W ten sposób lęk związany z nową sytuacją zostaje zmniejszony lub całkowicie zredukowany.

Terapeutycznej roli literatury doświadczył każdy z nas. I choć istnieją „książki zbójckie”, które wrażliwych chłopców sprowadzą na złe drogi, to niemal każdy ma swoją książkę, która pomaga mu przetrwać trudne chwile, lub książkę, która pozwoliła mu zrozumieć złożoną naturę świata. Poniżej prezentujemy tekst, który być może z intencją terapeutyczną napisany nie był, ale jest pięknym przykładem tego, że baśniowa przypowieść może wyjaśnić pewien wycinek rzeczywistości. □

Sylvia Białecka



Aleksandra Lemańska R Ó W N O L A N D I A

Równolandię założono po to, aby zaprowadzić ład i porządek na rozkapryszonym świecie. Nikt nie pamięta, kto pierwszy pomyślał, że większość problemów, jakie mają ludzie, bierze się po prostu z nierówności. Równolandia powstała jako równoważna i równo-uprawniona kraina, gościnna i otwarta na wszystkich, którzy równości poszukują.

W Równolandii bowiem wszystko jest równe: drogi, pola, kwiaty w ogrodach, ogórki, przedziałki we włosach i rysunki w zeszytach pierwszoklasistów. Jesienią liście spadają z drzew w równiutkie

rzędy, dzięki czemu nie trzeba ich grabić. Jezioro zamarza co roku tego samego dnia, a lód ma zawsze tę samą grubość – wiadomo wtedy, że już można wybrać się na łyżwy. Po deszczu i wiosennych roztopach na ulicach tworzą się równe kałuże, a samochody jadą z równą przepisową prędkością, nie ochlapując przechodniów. Poziomki dojrzewają w równym czasie, są równie duże, słodkie i soczyste. A co najważniejsze, lato trwa naprawdę tyle, ile powinno i ani jednego dnia krócej, podobnie jak pozostałe pory roku.

Mieszkańcy Równolandii chwalą sobie takie życie: proste, poukładane i przewidywalne. Nie potrzebują prognoz pogody, bo pogoda zmienia się w równych odstępach czasu. Nie potykają się na nierównych chodnikach, nie cierpią na ból pleców z powodu nierównych łóżek, nie mają zęza i nie patrzą na siebie z góry z powodu nierównego wzrostu. Nie narzekają na nieurodzaj, ponieważ rośliny przynoszą co roku równe i równie smaczne owoce. Nie martwią się rachunkami i wydatkami, bo ceny w przeciwieństwie do roślin nie rosną. Nie denerwują się, oglądając telewizję i czytając gazety, bo wszędzie przekazuje się równie prawdziwe informacje.

Pewnego razu żył sobie w Równolandii chłopiec, który był inny niż jego rodzice, rówieśnicy i wszyscy pozostali mieszkańcy. Wprawdzie rósł równo z innymi dziećmi, jadł równie chętnie szpinak i owsiankę, równo kopał piłkę i pisał litery, lecz... z jakiegoś powodu interesowało go to, co nierówne. Mając trzy lata dowiedział się, że ogryzając nierówno kromkę chleba, można z niej wygrzyźć piaska, dom albo auto. Dwa lata później odkrył, że w całej Równolandii najlepiej zjeżdża się na rowerze z małego, usypanego własnoręcznie pagórka. W wieku sześciu lat za pomocą gwoźdźcia i młotka potrafił z równych drewnianych klocków zrobić armię żołnierzyków. Kiedy poszedł do szkoły, wiedział już, że dorosłym wolno nierówno więcej niż dzieciom, wakacje nie trwają równo tyle, ile rok szkolny, a zawody sportowe nie polegają na tym, aby wszyscy zdobywali równą liczbę punktów.

Najważniejsze jednak okazało się przeczytanie książki o Himalajach i himalaistach, czyli śmialkach, którzy wspinają się na te najwyższe na świecie szczyty. Dla chłopca stało się jasne, że nierówne skały, nieprzewidywalna pogoda, nieoznaczone szlaki, niewidzialne przepaście i niewiadome szanse na zwycięstwo są częścią przygody. W przygodzie nie może być wszystko równe. Przygody nie da się zaplanować, zmierzyć i uprościć. Przygoda jest tam, gdzie wciąż pojawia się coś nie takie samo.

Kiedy dorosnę, wyruszę w świat i założę Nierównolandię, postanowił sobie chłopiec. W Nierównolandii drogi będą kręte i proste, gładkie i wyboiste. Kwiaty i ogórki będą rosły tak, jak zadba o nie ogrodnik. U fryzjera będzie można obejrzeć cały katalog przedziałków. A na rysunkach pierwszoklasistów pojawią się góry i doliny, esy i floresy. I niech tam, lato będzie trwało tyle, ile zechce.

Czy chłopiec dotrzymał słowa? I tak, i nie. Kiedy dorósł, opuścił Równolandię w poszukiwaniu własnej przygody. A jego przygodą stał się cały świat, gdzie wciąż spotykał równość i nierówność, i gdzie uczył się wybierać czasem jedno, a czasem drugie. To tak, jakby żył w Równolandii i Nierównolandii jednocześnie. □



Waldemar Tychek KOBIETA I MĘŻCZYŻNA

W obecnym, jakże trudnym dla mężczyzn, czasach, nabieram przekonania, że ci, którzy twierdzą, iż życie jest okrutne i niesprawiedliwe dla nas – bezapelacyjnie mają rację.

Już choćby to, że kobiety ośmielają się dzielić nas, mężczyzn, na trzy kategorie, tzn. inteligentnych, przystojnych i tę całą większość, dowodzi, że sprawiedliwość to my sobie możemy łatwo wyszukać jedynie w słowniku, pod literą „S”.

Panowie! Życie jest okrutne! Dzisiejszej nocy, np. miałem sen, że moja żona biła się o mnie z Sharon Stone... i niech to piorun kulisty! Żona zwyciężyła!

A przecież w każdym mężczyźnie tkwi zawsze kilku różnych mężczyzn i każdy z nich potrzebuje odpowiedniej kobiety. I w tym przypadku wcale nie chodzi o to, że mężczyzna ma bardzo ścisły umysł, ponieważ przez cały czas krążą mu po głowie różne działania, w których liczba sześć po niemiecku odgrywa niepoślednią rolę. Chodzi o zasadę. Tak, tak, miłe panie. Tylko kobieta bez serca potrafi zawsze zrobić idiotę z mężczyzny bez głowy.

To właśnie one w mówiły nam, że aby zachować zdrowie, musimy przez całe życie jeść to, na co nie mamy ochoty, pić to, co nam nie smakuje i robić to, co nam nie sprawia najmniejszej przyjemności... A zdamy sobie z tego wszystkiego sprawę dopiero wówczas, gdy już będziemy dziadkami. Jednakże i wtedy powinniśmy mieć świadomość, że zostać dziadkiem to jeszcze nic strasznego, gorszą jest świadomość, że ma się u boku żonę – babcię.

Jedyna sprawiedliwość, jaka jeszcze egzystuje w przyrodzie, to ta, że gdyby tak się złożyło, że kobieta i mężczyzna mogliby mieć dzieci rodząc je raz ona, raz on – każde małżeństwo posiadałoby tylko jedno dziecko.

Na szczęście natura w tym przypadku zachowała nas w stanie błogiej dziewiczości.

I to jest sprawiedliwe!

MĘŻOWIE – HONORIS CAUSA

W obecnym, jakże trudnym dla mężczyzn, czasach, nabieram przekonania, że ci, którzy twierdzą, iż mężczyźni za długoletnie pożyacie małżeńskie powinni otrzymywać od stosownych władz tytuły „Mężów Honoris Causa”, bezapelacyjnie mają rację.

Dobrze, że w naszym systemie istnieje prawo broniące tych, którzy nie są w stanie obronić się sami. Dlatego prawo zakazuje mieć więcej niż jedną żonę. I to jest dobre.

Z drugiej strony, badania wykazują, że jeśli mężczyźni są przeciwko małżeństwu, to tylko przeciwko własnemu. I to też jest dobre.

Natura niestety mądrą jest istotą – o ile tak można powiedzieć.

Sprawiła, między innymi, to, że jeśli stopy mężczyzny w zasadzie są tylko zakończeniem spodni, o tyle stopy kobiety naturalnie na odwrót – są początkiem nóg.

I jak tu się dziwić, że mężczyźni, w trakcie rozmowy z przygodnymi kobietami, mają zawsze trudności z patrzeniem im prosto w oczy.

Nie wiem, czy wszystkim wiadomo, że kobiety zdecydowanie wolniej od mężczyzn ubierają się i rozbierają. Dlaczego? Otóż kobiety mają o wiele więcej krzywizn, na których – zgodnie z kodeksem drogowym – należy zawsze zwalniać (o czym wiedzą specjaliści od ruchu drogowego, czyli mężczyźni). Dlatego też mężowie wolą unikać prowadzenia samochodu w towarzystwie własnych żon. Te wszystkie rady w rodzaju: „Nie wyprzedzaj!”, „Uważaj!”, a jeżeli już dojdzie do wypadku – sakramentalne „A nie mówiłam!” – powoduje, że w przypadku własnych żon, zamiast samochodowych wycieczek, coraz częściej opowiadamy się za rybołówstwem albo myślistwem.

Czasami zdarzy się oczywiście, że żona zwróci nam uwagę, że dzwoniła „ta rybka”, którą złowiliśmy w zeszłym tygodniu, ale cóż nam wtedy pozostanie? Nie okażmy się grubianami i zapytajmy, czy chociaż zostawiła numer telefonu.



PIENIĄDZE

W obecnych, jakże trudnych dla mężczyzn, czasach, nabieram przekonania, że ci, którzy twierdzą, iż pieniądź jest przyczyną niesprawiedliwości społecznych – jak najbardziej mają rację.

W większości małżeństw żony dla pieniędzy swoich mężów wprowadziły ruch jednokierunkowy, wychodząc z założenia, że mężczyźni wystarczająco męczą się ich zarabianiem, żeby się jeszcze martwić ich wydawaniem.

Dlatego też zatroskani mężczyźni są gatunkiem wymierającym, takim *homo*, co to ledwo sapie.

W obecnych, jakże trudnych, czasach ojca rodziny można poznać po tym, że znacznie częściej drapie się w głowę niż go głowa śwędzi. Gdy mężczyzna obieca coś w chwili słabości kobiecie, to nawet komputer w dziedzinie pamięci nie może z nią konkurować.

Nasze panie uważają, że do szczęścia potrzeba im przecież tak nie-

wiele. Po prostu – żeby miały tylko to wszystko, na co mają ochotę, a mężczyźni nie potrafią tego zrozumieć.

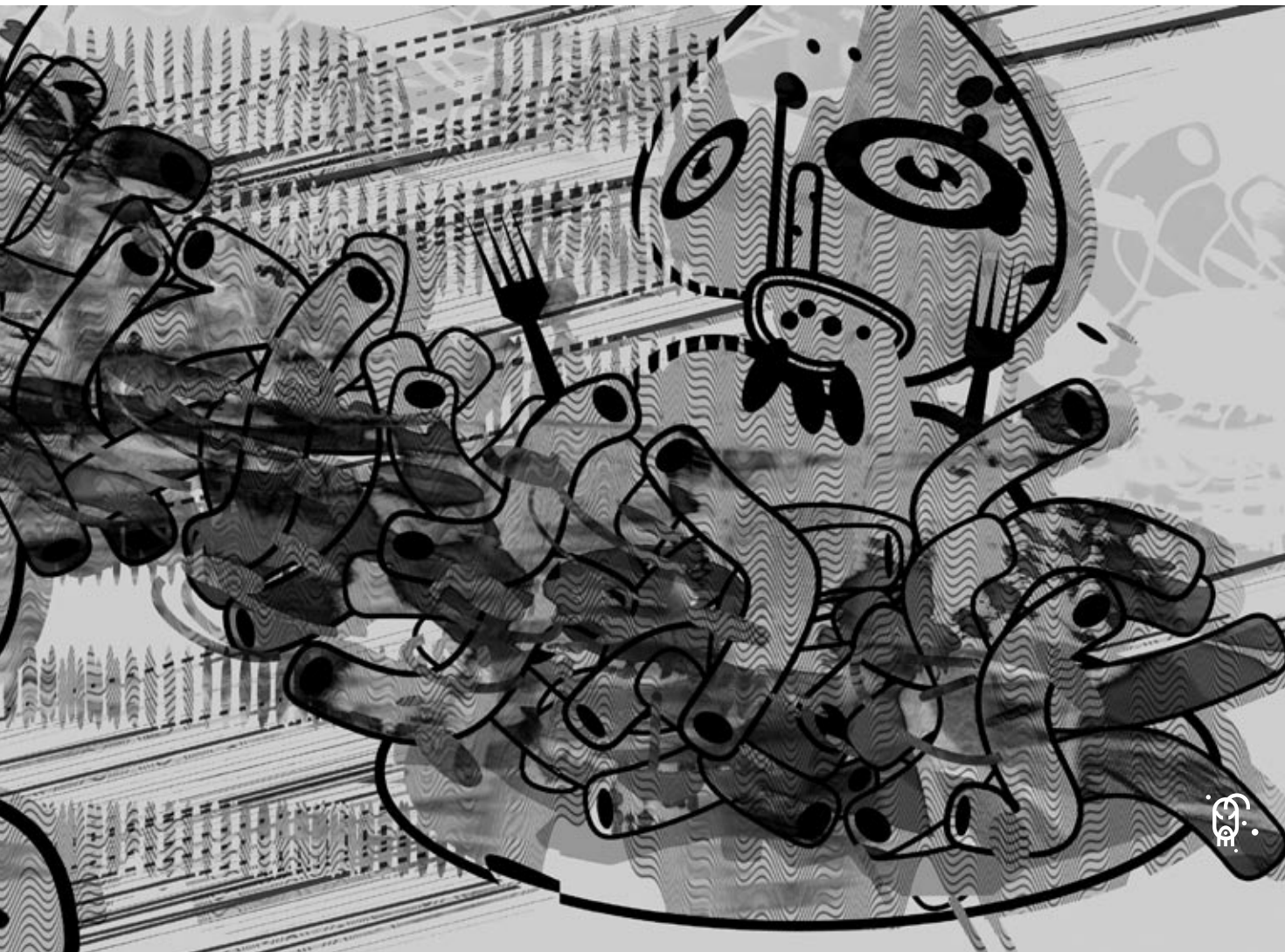
Kiedy natomiast mężczyzna zdaje sobie sprawę z wartości pieniądza?

Oczywiście wtedy, gdy naprawdę zaczyna się interesować dziewczynami, tj. od momentu, gdy jako młody chłopak zaczyna żałować, że tyle forsy wydał dotąd na gumę do żucia.

Pewien mój znajomy miał wszystko, o czym mężczyzna może zamarzyć: pieniądze, urocze mieszkanie oraz kochającą go, pełną wewnętrznego i zewnętrznego czaru kobietę. I wyobraźcie sobie, panowie, że pewnego dnia wkroczyła w to wszystko jego żona.

No, jak tak można!?

Dlatego też, panowie, ze wszystkich nadziei, jakie nam jeszcze pozostały, możemy (tak naprawdę) liczyć tylko na jedną – a mianowicie na odpuszczenie grzechów. □





Marta Chyła

FILETON

Korespondentka z Olsztyna nadaje...

Bez przeczytania tego tekstu nie przeżyjesz następnego kwartału



Stało się. Będę pisać felietony, olsztyńskie bilety MPK podrożały, a lato wyraźnie się skończyło, co słychać po chrzęszczących liściach pod butami i po dzikich odgłosach w okolicach szkół podstawowych w czasie długich przerw. To najgorsze, szokujące wiadomości regionu.

Na szczęście są też dobre wieści – najradośniejsza z nich głosi, że prawdopodobnie wyrosnie nam kolejne centrum handlowe, więc będzie alternatywa do spędzenia niedzieli w rodzinnym gronie już niekoniecznie w Alfie, ale w jakimś innym, równie ciekawym miejscu pełnym kolorowych wystaw stanków, spinek, garniturów, czy też sprzętów AGD. Trzeba wprowadzać urozmaicenia; znudzenie należy do negatywnych stanów emocjonalnych, może prowadzić nawet do agresji. A agresja bywa najczęściej źle ukierunkowana, co owocuje wzrostem rozwodów, trwałymi uszkodzeniami ciała, nowotworami i przepełnieniem w więzieniach.

Aby zapobiec całemu złu związanemu z jesienną frustracją, depresją tudzież przedwczesną demencją, warto oddać się czynnościom odwracającym uwagę od niewesołych refleksji na temat przemijania, braku słońca oraz spadających liści. Zapomnieć o tęsknocie za spadającymi cenami.

Najskuteczniejszym sposobem na przeżycie, przynajmniej do następnego kwartału, bez jesiennych spleenów, jest – uwaga, złota myśl aspirująca do tego, żeby się znaleźć w chińskim ciastku – polubienie jesieni. Zalecam stopniowe oswojenie się z tą porą roku. Nic od razu.

Najpierw poprzez zbieranie kolorowych liści i kasztanów w parku. Jeśli już się przełamamy i wzmówimy sobie, że ta czynność nie jest aż tak kretyńska, możemy zasuszyć swoje trofea w książce telefonicznej (mam na myśli trofea w postaci liści, suszenie kasztanów byłoby nazbyt oryginalne) lub, jeśli ktoś ma, w innej grubej książce, a następnie w przypływie fantazji udekorować swoje mieszkanie w celu przywyknięcia do kolorów jesieni.

Aha, podobno kasztany wrzucone pod łóżko mają właściwości zdrowotne. Tylko nikt nie napisał o tym, jak wyeliminować niewyspanie z powodu wyrzuczonego materaca.

Wróćmy do naszych sposobów oswojenia się z jesienią. Po wizycie w parku można nieco bardziej radykalnie pozwolić sobie na to, by okres powakacyjny kojarzył się z czasem wywołującym pozytywne odczucia. Można zacząć potajemnie otwierać słoiki z konfiturami zrobionymi latem. Nie polecam włamywania się do piwnicy sąsiada (to może skończyć się agresją, a, jak już wiemy, agresja to zło, które



należy zwalczać. Tym bardziej, że może być skierowana w naszą stronę). Należy swoje weki zapełnić jeszcze w wakacje. Jeśli ktoś zapomniał lub nie umie, może przejść od razu do ostatniego etapu polubienia jesieni.

Ostatnim sposobem, bardzo trudnym, wymagającym samozaparcia oraz poświęcenia, jest recytowanie w długie jesienne wieczory wierszy na temat tej pory roku, ale nic mi nie wiadomo, czy ktośkolwiek miał odwagę podjąć się tego wyzwania. Jakoś niewiele osób może sobie wyobrazić, że jest w stanie deklamować „O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny/ I pluszcze jednaki, miarowy, niezmienny (...)” Staffa.

Cóż, pierwsze dwa sposoby na oswojenie się z jesienią powinny wystarczyć. Jeśli nie, warto wypełnić czas inaczej – są jeszcze osiedlowe kółka zainteresowań, wyprzedaże letniej odzieży, internetowe serwisy społecznościowe, w których można zamieszczać zdjęcia z wakacji i dostawać pod nimi komentarze pełne ukrytej zazdrości, a telewizja ma nową, lepszą, jesienną ramówkę.

Można też pomyśleć o nadchodzącej zimie i w ten sposób łaskawszym okiem spojrzeć na jesień. Bo ta zima dopiero jest paskudna, zaskakuje drogowców, wycieraczki w samochodzie chodzą w prawo i w lewo, ziąb i nie wiadomo, jaką sukienkę na sylwestra założyć. Na szczęście, drodzy obywatele, jeszcze daleko i mamy piękną polską jesień. □

Co dobrego było w peerelu? [cz. 1]

Takie pytanie zadałam bliższym i dalszym znajomym. Niektórzy stwierdzili, że zastrzeżeni ich tym pytaniem. Odpytywane osoby są związane z kulturą, luźniej i ciasniej lub sporadycznie albo wcale. Są też wśród nich osoby pióra. Pytałam, czy chcą być anonimowi, czy też wystąpić z imienia i nazwiska. Umieszczam imiona za wyraźną zgodą osób. Niektórzy chcieli pozostać wymienieni tylko z inicjałów lub całkowicie anonimowi – uszanowałam to. Chodziło mi o odpowiedzi szczerze i nie zabarwione politycznie czy też poprawnie politycznie. Po prostu: co dobrego było w peerelu? Czy ktoś to jeszcze pamięta? Zachowałam ustny barwny charakter wypowiedzi – niech tak pozostanie. Niemal wszyscy wypowiadali się przez porównanie do dzisiejszego systemu. Kilka osób odmówiło odpowiedzi. Wkrótce nikt nie będzie pamiętał peerelu, a przecież był to okres ludzkich doświadczeń. Wkrótce peerel ulegnie mistyfikacji, jako „czarna dziura” i okres najczarniejszych zbrodni. Jedyne: zbrodni. Owszem, zbrodnie były, ale przecież nie było tak, że dokonywał ich każdy, żyjący wtedy człowiek. Zgódźmy się, że – nie każdy człowiek z peerelu był zbrodniarzem w peerelu. Nie każdy człowiek żył systemem. Człowiek żyje przez doświadczanie – tak było i tak będzie. Człowiek ma tylko jedną młodość, jedno dzieciństwo, jedno życie. Każdy ustrój ma swoje patologie i swoje zbrodnie. W każdym ustroju istnieje najpiękniejsze ludzkie uczucie – miłość. W każdym ustroju rodzą się dzieci z miłości.

Tadeusz Szyłłejko, dziennikarz:

Co dobrego było w peerelu? Życie towarzyskie. Kawiarniane stoliki literackie: na Krakowskim Przedmieściu, na Foksal, na Wiejskiej. Ponieważ wokół było wszystkiego brak, uciekało się w świat wyobraźni, w sztukę. Dla wielu był to rodzaj kompensacji. No, a w rzeczywistym życiu była jeszcze młodość.

Iwona Łazicka-Pawlak z Departamentu Kultury Urzędu Marszałkowskiego:

W peerelu co było dobrego? Przede wszystkim to, że się skończył. Ale była jeszcze fantazja w narodzie i żywność wolna od GMO. Marchewki w czekoladzie, które smakowały podobnie jak rodzynki w czekoladzie, ale były lepsze niż te rodzynki. Ameryka była zdecydowanie dalej, a amerykańskie książki bliżej. Książki były tanie. Radio Wolna Europa nadawało, więc było czego słuchać. Rozmawialiśmy ze sobą zdecydowanie częściej i nie dzwoniłiśmy do przyjaciół, tylko szliśmy do nich, kiedy przychodziła nam ochota na odwiedzinę. Różniłiśmy się tym i tamtym. Wysocki był dobry, a monitorowane życie było fikcją literacką.

Piotr Siwecki, pisarz:

Co dobrego było w peerelu? Dzieciństwo. I ludzie byli fajni. To był czas, w którym żyliśmy. Nie byliśmy przecież trupami. Naprawdę byli fajni ludzie.

Antoni Janowski, mój mąż:

Wtedy, w peerelu, człowiek jeszcze nie wiedział, że jest śmiertelny. Wtedy, w peerelu, jeszcze się można było zakochać. Wtedy, w peerelu, człowiek jeszcze mógł sobie pozwolić na chwilę beztrojskiego zamyslenia się, a kiedy się z tego zamyslenia obudził, to wcale nie był na szarym końcu wyścigu szczurów.

Marek Barański, dziennikarz „GP”:

Na pewno były trzy dobre sprawy w peerelu: powszechna oświata. Wtedy analfabetów uczono czytać i pisać. Nauczyć się czytania i pisania to był obowiązek. Druga sprawa – mleko. Uczniowie mieli drugie śniadania w postaci kubka gorącego mleka i była do tego jakaś bułeczka. Trzecia sprawa to obowiązkowe bezpłatne badania w przychodniach, dotyczące gruźlicy. Walka z gruźlicą – czy to było złe? System powszechnej opieki zdrowotnej, czy to było złe? Czyli nasuwają mi się od razu trzy sprawy: analfabeci, mleko i gruźlica.

Jan Pruski, malarz:

Co było dobrego w peerelu? A to, że nigdy bym już nie chciał go mieć. Ci, co go wymyślili, dobrze się bawili. To był system dla naszych rodziców, wynikający z dobrej zabawy rządzących. Wszystko w końcu upadało, razem ze sztuką. Teraz w plastycie miernoty się nie przebija, a jeśli, to na króciutkich nóżkach. Tamara, to są króciutkie nóżki! Wtedy były dla plastyków zlecenia od państwa. Kręciły się przy tym korycie miernoty.

Moja starsza córka, Katarzyna:

Co było dobrego w peerelu? Nic. Dla mnie po prostu nic.

B.O., dziennikarka radiowa:

Co dobrego było w peerelu? To, że byłam dzieckiem i nie zdawałam sobie sprawy z bardzo wielu rzeczy. Miałam tatę, mamę, kochającą rodzinę. Refleksje przychodzą wraz z wiekiem, z doświadczeniem. Dziecko nie zdaje sobie sprawy z tego, w jakim systemie żyje. To jedyny świat, jaki zna.

Ktoś znany:

O, matko! Nie!

Andrzej Gawryluk, zaprzyjaźniony Białorus, inwalida:

Nic dobrego nie było w peerelu. Sanatorium było darmowe. Więcej nic. Kolej była darmowa do sanatorium. □



Krzysztof D. Szatravski

Tehilim w Bohemie



Tehilim, czyli Psalmy, to kanon poezji lirycznej i religijnej. Nie tylko w tradycji hebrajskiej, ale w wielu kulturach europejskich, w tym i polskiej. To w tłumaczeniach pieśni króla Dawida dokonał Kochanowski pierwszego aktu budowania poetyckiej polszczyzny. Cztery wieki później w tłumaczeniu tego samego kompletu pieśni pochwalnych poszukiwał Miłosz ucieczki przed dewaluacją propagandowych i skostnieniem emigracyjnych formuł językowych. Poetycka wielkość psalmów wyraża się także ich muzycznością – pomijając bowiem fakt, że tradycyjnie śpiewa się cały tekst biblijny, psalmy mają swój udział w tradycji pozaliturgicznej wielu wyznań i

nie zaskoczył fakt, że zgromadzona publiczność szczerze wypełniła klubowe sale. Jest to też kolejne przedsięwzięcie olsztyńskiego artysty łączące jazz z tradycją klezmerską, współczesną muzyką poszukującą z kanonicznymi tekstami religijnymi, stapiające wielokulturową duchowość i wrażliwość wyrastającą na gruncie współczesnej kultury masowej.

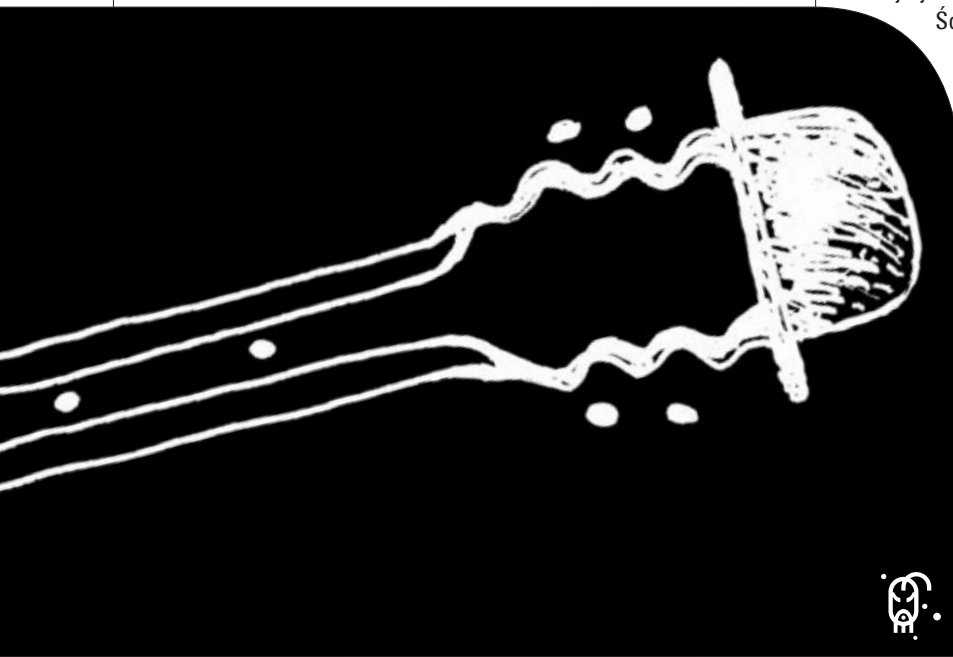
Aron Blum to gitarzysta basowy, który konsekwentnie przełamuje sztuczną barierę pomiędzy obszarami progresywnego rocka i jazzu. On sam, pytany o inspiracje, wskazuje przede wszystkim na tradycje jazzowe – Jaco Pastoriusa, Marcusa Millera i Krzysztofa Ścierańskiego – w rzeczywistości jednak od dawna podąża własną drogą, której bliższe są działania awangardy chicagowskiej, czy twórców skupionych wokół nowojorskiej wytwórni Tzadik. Aron Blum jest autorem projektu, aranżerem, jego dobrym duchem i siłą napędową. Stałą uczestniczką projektu jest Noemi Bażanowska – wokalistka posługująca się swobodnie językiem hebrajskim. Znajomość języka i kultury historycznego i współczesnego Izraela ma podstawowe znaczenie dla interpretacyjnej wiarygodności jej wykonania.

Generalnym założeniem projektu jest zmienny skład zespołu i uczestnictwo większej ilości muzyków, którzy współdziałając w różnych konfiguracjach mogliby tworzyć odradzający się wciąż od nowa zespół. W założeniu takie wpisane jest ryzyko przypadkowości, można je jednak zaakceptować, jeśli się uwzględni płynące z rotacji muzyków korzyści. W takich projektach koncert jest nie tylko wykonaniem programu, scena staje się miejscem budowania relacji pomiędzy muzykami, momentem ścierania się oczekiwań i kształtowania wspólnej, choć nie zawsze spójnej wizji.

kultur, a śpiewane przy różnych okazjach, zyskują wciąż nowe melodie i konteksty. Właśnie Psalmy wybrał olsztyński muzyk Aron Blum jako punkt wyjścia swego nowego projektu. Program zatytułowany w języku oryginału „Tehilim” opiera się na oryginalnych hebrajskich tekstach i tradycyjnych melodiach, i z pewnością jest to wybór znaczący.

Prezentacja autorskiego projektu Arona Bluma „Tehilim” okazała się jednym z najciekawszych wydarzeń letniego sezonu. Koncert odbył się 13 września w olsztyńskim klubie Bohema i nie był to termin przypadkowy. Wprawdzie wakacje dobiegały już końca, a chłodna aura sprawiła, że opustoszały ulice starówki i na przypadkowych turystów nikt raczej nie liczył, jednak wieczór ten był jednym z najważniejszych wydarzeń II Dni Kultury Żydowskiej i nikogo chyba

W Bohemie „Tehilim” zaprezentowano w składzie sześćosobowym – gościnnie wystąpiła czwórka muzyków. Ściśle związani z jazzem, trębacz Antoni „Ziut” Gralak i bezwzględnie skuteczny perkusista Jacek Kochan, to czołówka awangardy, silne, wyraźnie zarysowane, a co najważniejsze – komunikatywne osobowości. Uwagę skupiał trębacz nawiązujący we fragmentach lirycznych dialog z wokalistką, a w improwizacjach pozwalający się sprowokować Blumowi i przekraczający bezpieczne granice jazzowych schematów. Pianista Dominik Wania i gitarzysta Piotr Krępec to młodzi, odnoszący pierwsze sukcesy w konkursach muzycy. Udział w projekcie „Tehilim” może zdecydować o granicach, jakie sobie wyznaczą i o miejscu, jakie znajdą w pamięci odbiorców. Podobnie niezwykle otwartość, z jaką przyjmujemy powrót motywów kultury żydowskiej, jest świadectwem, że granice naszego świata nie są trwale wyznaczone. □





Kolejki przed sklepami, mało parlamentarne słowa dochodzące z tłumu, ochrona lekko podenerwowana... PRL? Nie, nie, mamy przecież 2008 rok. Premiera nowego Harry'ego Pottera? Też nie, seria podobno zakończona... Wyprzedaż w Media Markt? Również pudło... To co? Proste – premiera „Death Magnetic”. Aż dziw bierze, że w XXI wieku takie rzeczy może wywołać płyta metalowej formacji. No właśnie, i wcale nie chodzi tutaj o „metal” spod znaku Linkin Park, Korn czy innych wynalazków. To Metallica! Legenda *thrash metalu*, zespół, który przez lata (szczególnie osiemdziesiąte i pierwszą połowę dziewięćdziesiątych) „jeńców nie brał”. Metallica wiedziała, jak zrobić dobrze spragnionym solidnego łomotu fanom, teraz wszem i wobec zapowiedziała powrót do metalowego łojenia, trzeba dodać, łojenia z prawdziwego zdarzenia...

Zazwyczaj przedpremierowe zapowiedzi szybko można włożyć między bajki. Byłbym w stanie uwierzyć w takie gadanie młodym muzykom, którzy na samą myśl o koncercie dla tysiąca ludzi dostają ataku serca. Hetfield i spółka to jednak stare wygi, dinozaury znające prawa rynku. Nawet gdyby nagrali totalnego gniota i tak przed premierą byłby to najlepszy i najbardziej agresywny album w historii metalu. Zresztą, podobnie było w przypadku „St. Anger”. Co z tego wyszło, każdy chyba wie doskonale. Cóż, takie prawa rynku, teraz muzyka już nie broni się sama...

No dobra, dali radę czy nie dali? Spokojnie można pokusić się o stwierdzenie, że Metallicy od czasów „St. Anger” odrosły pazury. Inna sprawa, że w 2003 roku nie mieli ich wcale! Metallica na „Death Magnetic” bawi się ze słuchaczem. Raz próbuje wmówić mu to, że panowie rzeczywiście wrócili do *thrash metalu*, że znówu kopią, biją i niszczą z siłą dynamitu. Innym razem pojawiają się tutaj momenty, za które fani „kochali” ich na „Load” czy „ReLoad”, a to już nie jest najlepszy znak. Na szczęście, metalowego grzania jest zdecydowanie więcej. No bo rzeczywiście, odpalamy krążek i... słyszymy solówki, jest dość dobry wokal Jamesa (daleki od komedii znanych z „Frantic” czy „Shoot Me Again”), znajdziemy nawet naprawdę solidne doładowanie z wioseł. Co ważne, nie ma kartonowego werbla... Jakby się wnikliwie przyjrzeć, to wyjdzie, że „Death Magnetic” to zbiór tego, za co ludzie właściwie kochają ten zespół. Może stwierdzenie lekko naciągane, ale coś w tym z pewnością jest.

Đługość utworów. Hmm... czy mówiłem już, że Metallica bawi się ze słuchaczem? Taki zabieg miał z pewnością skierować oczy fanów na płyty wydawane w latach osiemdziesiątych, wszak to najlepszy okres w historii zespołu. Utwory na „Death Magnetic” są siłą rzeczy wielowątkowe, muzycy upchali tutaj praktycznie wszystko, co grali przez lata (pomijając z oczywistych względów „St. Anger”). Nie wiem, na ile jest to zasługa Ricka Rubina, na ile ich samych. Obserwując ostatni koncert w Chorzowie doszedłem do wniosku, że ci kolesie po prostu stęsknili się za metalowym graniem. Nie przez przypadek swego czasu grali na żywo cały „Master of Puppets” i takie pociski, jak „Whiplash” czy „Creeping Death”. Wystarczyła chwila autorefleksji i spod palców tych muzyków wyszedł naprawdę solidny metalowy materiał. Mam nadzieję, że to zachęci ich do jeszcze większego grzebania w starociach.

Uwierzycie, że „Death Magnetic” można postawić w jednym rzędzie z takimi klasykami jak „Ride The Lightning” czy „Master of Puppets”? Nie? I bardzo dobrze, bo po prostu nie można! Tamte płyty są jedyne w swoim rodzaju i obawiam się, że Metallica nie ma już siły popelić czegoś na podobnym poziomie. „Death Magnetic”, mimo iż jest naprawdę świetną płytą, nie ma w sobie tej siły, tej magii. Wystarczy wspomnieć o „The Unforgiven III”, który, delikatnie mówiąc, mógł zostać w sali prób. Brak mi na nowym dziecku formacji hitów pokroju „Enter Sandman” czy „Sad But True”. To przecież one powodowały, że Metallicę znali wszyscy. Nawet babcia Zosia, wujek Zdzisiek i Pani Jadzia ze spożywczego. Teraz muzycy chcieli chyba najbardziej pokazać to, że potrafią nagrać jeszcze metalowy materiał. Zapomnieli jednak, że Metallica od zawsze była kopalnią niesamowicie nośnych riffów i zapadających w pamięć na lata solówek. W tej materii „Death Magnetic” wypada nieco słabiej.

Pochwalił, pomarudził, przydałoby się podsumować cały ten bałagan... Przyznam się szczerze, pięć lat temu straciłem do Metallicy resztki szacunku. Nie interesowałem się tym zespołem kompletnie. Wracałem jedynie do starszych płyt, śmiejąc się w głębi ducha z tego, że ci panowie zamiast zakończyć karierę, męczą się na scenie popadając w totalny marazm. Koncert w Chorzowie i sam „Death Magnetic” z pewnością nie spowodował tego, że padłem przed nimi na kolana i bijąc się w piersi przeproszałem, iż zwątpiłem... Nie ukrywam jednak, że nazwa Metallica wróciła do mojego słownika. Ci faceci mogą nagrać jeszcze 2-3 ciekawe płyty. Recepta na to jest banalna – autorefleksja... z metalu się przecież nigdy nie wyrasta... prawda?

01. That Was Just Your Life, 02. The End Of The Line, 03. Broken, Beat & Scarred, 04. The Day That Never Comes, 05. All Nightmare Long, 06. Cyanide, 07. The Unforgiven III, 08. The Judas Kiss, 09. Suicide & Redemption, 10. My Apocalypse

James Hetfield – Guitar, Vocals, Kirk Hammett – Lead Guitar, Robert Trujillo – Bass, Lars Ulrich – Drums. □

Krzysiek Gugnacki

H Y D E P A I R



KALAMBURY (klasyczne) NIE DLA PONURYCH

Czasem siódme
występują twarze
możesz w nią dostać
w podejrzanym barze

Samogłoska ściga
siebie
jeszcze krok i dusza
w niebie

PALINDROM

(palindromader - jak chce
Stanisław Barańczak)
A HUZAR ZŁY, TWARDO: „I, BOŻE!
TO TY?!”, ŻE LANIE I NAUKĘ; LECZ
CO TO? - W CELU POPISU MIECH
CIBOR JE HUZAR, DOŃ OKO KOŃ OD
RAZU, HEJ, ROBI. CHCE I MUSI POP
ULEC W OTOCZCZE LĘKU, A NIE (I
NALEŻY TO TEŻ) - O! BIODRA
W TYŁ ZRAZU. HA!

JESTEM UNDER

Leżę sobie na leżaku
na leżaku w piwnicy
myśli sobie ważę, nie marzę o niczym
wagę matą mam malutka
czasem zważę swą myśl krótka
i do diabła ją poślę
bo on dobrze wie, co jest dobre,
a co złe

Leżę sobie na leżaku
w piwnicy sobie leżę
bo podziemne jestem zwierzę,
ale nie kret
kret to nie jest moja ksywa
bo ja Under, Under się nazywam
myśli sobie ważę, o niczym nie marzę
na górze burdel; dziwki, biznes,
politycy

mogę wstać, mogę brać
a ja leżę w piwnicy
leżę na leżance, na mojej kochance
obok waga jest malutka
możesz zważyć swego fiutka
ja decyzję swoją ważę, jako Under,
Under

czy odwiedzić burdel
czy wpaść na górę, zrobić awanturę
wiem, że mogę włożyć togę
mogę wstać i wzbudzić trwogę
dotknąć wtórcznią Iturriela
przyjaciela i premiera
mogę wstać, ale ja, jestem Under
i w piwnicy sobie leżę
bawię się myślami, czasami zabawkami
w hamaku się bujam i wyciągam
swoje kości, peten radości
mogę grać, mogę wstać ale ja
jestem Under, jestem Under
przyjdzie czas na ostatnią rundę

Pewien mąż stanu nie będąc mężem miał brata
ustłyszał, że na tego brata mówią - autokrata
więc się wkurzył okrutnie
i hołocie rzekł butnie
że się będzie obrażał przez długie lata

RADA DLA
POLITYKA
NIE TYKAJ
SATYRYKA

Pewien gimnastyk, Lech Kabotyn w Kaliszu
na batut wszedł, zapewne w celu popisu
Ibem chciał dotknąć sufitu
lecz mu wyszło do kitu
więc mu poradzono, by spróbował zwisu

NASZ ORGANISTA
Przydałyby się organy nowe naszemu
organiście,
mamy na myśli trzustkę i wątrobę
oczywiście

Butelka, kieliszek i ogórek
- rekwizyty obrazu
martwiejącej natury

Jeśli już pijesz pod byle
pretekstem
staraj się nie być gąbką
pozostań pumeksem

EPITAFIUM

Tu leży higienista,
a zmogła go czysta

KLAN

Warsztatu
Samselskiego i Kozaka



Sztuką jest
robiąc salto
stanać na głowie

CZASAMI KAMIĄC
KONWENANSE
PODWAJASZ SWOJĄ
SZANSĘ

ORYGINAŁ
Chcąc być oryginalny
od czasu do czasu
nosił drewno do lasu

SPRYT WILKA
Nosił wilk razy kilka
przestał nosić
i zaczął donosić

ŚWIĘCONKA
Poświęcił swój nowy
samochód Jan,
aby zachować obowiązujący
szpan

BIZNES PLANIK

Niezty w głowie mam zamęćik
A ty jeszcze nęcisz
Mnie
Aperitifem
Mieszasz
Jest niezte
Chyba ramazzotti
Co ty
Nie uwiedziesz mnie
Bo czuję, że knujesz
Intrygi nić snujesz
Szatański zgota masz plan
Ten poker mnie wciąga
Może się poddam
W gruncie rzeczy podoba
Mi się
Twoja twarz

Och, niezty w głowie mam zamęćik
Nieźle grasz, a co więcej
Ja
Sama się tapię
Na tym, że mogę
Znienacka tak
O tak
Jakby poddać się grze

Bo czuję, że knujesz
Intrygi nić snujesz
Diabelski zgota masz plan
Trochę mnie to wciąga
Wiem, że mnie pożadasz
W gruncie rzeczy podoba
Mi się
Ta gra

Taki w głowie mam zamęćik
Że się nie wykrećę
Już
Więc niech tak będzie
Więc mnie zdobyteś
Kontrakt wygrateś
Spateś
Gdy ja
Ładowałam nad Tamiza
Z twoją kartą wiza

Bo czutem, że knuteś
Intrygi nić snuteś
Szatański miateś zgota plan
A w gruncie rzeczy podobata
Mi się
Twoja twarz



ZOSTAŃ STYLISTĄ...



BABY PRUSKIEJ

Wytnij Babę Pruską! Ubierz ją i pokaż, na co Cię stać!
Zabawka dla dzieci od lat 3. Zawiera małe elementy mogące ulec wchłonięciu. Na zawsze.

korzystaj z nożyczek chirurgicznych pod okiem chirurga



korale czerwone



kozackie kozaczki



turecka bluzka



kieca dla ludu



emo kapcie



kaftan (?)

Osoba odpowiedzialna za reklamacje: Marta Chyła